











Ciechoński Janusz

8136  
m





1.20

*Czechowski tekst*

PAN STAROSTA  
ZAKRZEWSKI.

WYDAŁ

MICHAŁ GRABOWSKI.

K I J O W.

NAKŁADEM LEONA IDZIKOWSKIEGO.

1860.

*12/20*





PAN STAROSTA  
ZAKRZEWSKI.

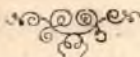
1870  
N. A. R. N. W. S. R. A.

PAN STAROSTA

ZAKRZEWSKI

WYDAŁ

MICHAŁ GRABOWSKI.



INSTYTUT  
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-330 Warszawa

Tel. 28-68-63, 28-62-81 w. 42



K I J O W.

NAKŁADEM LEONA IDZIKOWSKIEGO.

1860.



Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury,  
po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa, dnia 29 Listopada (11 Grudnia) 1858 r.

*Cenzor,*

**RADCA KOLLEGIALNY, Stanisławski.**

---

W Drukarni Gazety Codziennej.

487  
<http://rcin.org.pl>



## PRZEDMOWA.

---

*Z rękopismu Starosta Zakrzewski, ogłoszony był początek w Pamiętnikach umysłowych. Wydawca pan Kirkor oświadczył, że rękopism udzielony został przezemnie; wszelako zdarzyło mi się później spotykać wzmianki w dziennikach i pismach, jakoby Starosta Zakrzewski był mojem dziełem, i to mi jedynie wytłumaczyć mogło obojętność, z jaką ten piękny utwór został spotkany. Dzieło to nie jest moje, wyszło ono z pod pióra nieodżałowanego Jakóba Ciechońskiego, marszałka zastawskiego. Listem swoim z d. 19 września 1842 r., pozwolił mi on rozporządzić swoim rękopismem według méj woli i zdania: jakoż udzieliłem go wtedy p. Kirkorowi na korzyść wileńskiego polskiego teatru. Okoliczności ówczesne przeszkodziły ogłoszeniu całkowitemu; dopełniając tego teraz, życzę sobie nie tylko żeby w zupełności to dzieło zostało znane, ale nadto, żeby pobudzić osoby, w których rękę*

muszą się znajdować inne rękopisma śp. Jakóba Ciechońskiego, aby wydały je na widok publiczny.

Starosta Zakrzewski jest obrazek jedynej w swoim rodzaju: zupełny i dokończony w artystycznym względzie, jest najcenniejszą biografią; mogę o tem zapewnić, bo w pierwszej mojej młodości znałem doskonale oryginał tego wizerunku. Z powodu stosunków rodzinnych widywałem często pana Starostę i słuchałem nieraz tych samych opowiadań, które powtórzył brat jego synowej. Wydziwić się tylko nie mogę, jak się udało autorowi powtórzyć je tak doskonale, tak charakterystycznie i tak swobodnie? Co tem bardziej podziwienią godne, zważywszy ogólny charakter tamtoczesnej literatury, utwory zwykłych upodobań społeczeństwa literatów, i własne inne plody samego pana Ciechońskiego. Wprawdzie wtedy kiedy on pisał swojego Starostę Zakrzewskiego, znajome już były Pamiętniki Soplicy, ale nie można żadną miarą wziąć dzieła, o którym mówimy, za naśladowanie tamtych. Jestto utwór zupełnie swobodnego natchnienia; p. Ciechoński napisał je bez reminiscencyi, bez wzoru, bez żadnego literackiego zakroju, tak samo jak hrabia Rzewuski swoje, i to jest jedyne między obudwoma podobieństwo. Owszem, należy przyznać, że autor Starosty Zakrzewskiego natrafił odrazu na formę zupełniejszą od Soplicowskiej, i swojemu obrazkowi staroświecczyny dał obszerniejsze ramy, jedność i dokończoność, których żadna z pojedynczych wspomnień

*Soplicy nie ma. Dla mnie przynajmniej, który działowi literatury naszej, odtwarzającemu przeszłość polską, przyznaję wyższą wartość i znaczenie jak inni, a stąd i zwracam nań pilniejszą uwagę jak ktokolwiek, dla mnie Starosta Zakrzewski pod samym względem kompozycyi ma zupełnie odmienne oblicze w szeregu drugich tego rodzaju wizerunków, i nosi na sobie niepoznane piętno swojego autora, któremu udało się tu, co robił ustawicznie jako poeta, tworzący drobne arcydzieła od niechcenia, bez wiedzy prawie o tém własnej, a szczególnie z najzupełniejszą o to beztrojskiwością.*

*Wizerunki przeszłości udatne i prawdziwie natchnione, zbogacają zawsze wiedzę nowemi i ciekawemi szczegółami o téj przeszłości. Dzieje się to sprawą dochowanej tradycyi lub jasnowiedzenia geniuszu, często jednego i drugiego społem, bo płaski rozum i nie-talent, wierzytelną nawet tradycyą wykrzywią. W tém więc jest probierz wartości tego rodzaju utworu, to odróżnia dzieło namaszczonego pióra od ekliwych i głupich małpiarstw i powtarzań. Na nieszczęście, za pięknym i ważnym działem odtworzeń naszej przeszłości ciągnie się długi ogon przedrzeźnień i niedorzecznych gawęd. Oneto wywołały już niejaki protestacye przeciw naszej podaniowej i historycznej powieści, co wszakże tego tylko dowodzi, że ci niezadowolnieni nie umieją rozróżnić rzeczy zupełnie odmiennych. Starosta Zakrzewski przyczynił się istotnie do*



rozwidnienia okresu w który nas przenosi. Z wielu szczegółów wybieram tylko jeden: pochodę na hajdamaków. Pierwszeto dostaliśmy wtedy szczegóły o tém niespokojnym pokoju, jak się wyraził Trembecki, który utrapiał wciąż Ukrainę. Dwie wyprawy, do których należał pan starosta Zakrzewski, są nieocenionym pamiętnikiem, pełnym woni i koloru rzeczywistości. Pod tym ostatnim względem, wartość jego historyczna tak wielka, że te obrazy zostały przeniesione w literaturę małosyjską i rosyjską, jako szacowny materiał dziejowy, jakim też są niezawodnie.

W naszej historyi równie jak w naszej literaturze, te obrazki są wielkiej wartości. Kiedy pan Kaczkowski w prześlizniętej swój powieści Junacy, uprzytomnił nam tak doskonale sam wyjazd dzielnych Sanoczanów na ukraińską wyprawę, byłibyśmy niepocieszeni, że nic o dalszych jej losach nie wiemy, gdyby wyprawy Zakrzewskiego nie dały nam o nich pojęcia. Skręślił później takie same obrazy autor Junaków, w kilku ustępach Męża Szalonego, nie próżnych, rysów nowych, wydatnych, a jak u niego zawsze, wiernych naturze i prawdzie; starali się i drudzy wystawiać ukraińskie hajdamaczyzny i kresowe boje w poematach, ale posługiwali się nieraz ołówkiem tak niepostępnym ręce, i farbami tak zalewającymi dla swoich obrazów, że nie wadziłoby, pamiętając na proste opisy wyjęte z ust uczestnika prawdziwych wypraw na Czortowusa



v  
i Czuprynę, warować się od zawierzenia na ślepo tym malowidłom, razem przesadnym i bladym.

Nie wiem, czy nieodżałowany Ciechoński nie pisał więcej w rodzaju niniejszego utworu; namawiałem go do tego, przyznawał, że nie braknie mu pamiątek i wizerunków, i obiecywał zająć się dalszém pisaniem. Czy były tego jakie skutki? Okazałoby się to, gdyby osoby szanownej jego rodziny zajęły się zebraniem i uporządkowaniem jego papierów, a następnie ogłoszeniem tego, co by się z nich wybrać dało. Powtarzam, że ogłoszeniem niniejszego pisma, radbym ich do tego pobudzić. Nie wiedząc, czy znajdą się jakie pisma prozą, wiem, że możnaby zebrać znaczny poszyt poezyi. Wiele z tych wierszy okolicznościowych, są, jak już powiedziałem, drobne arcydzieła: tyle w nich zawsze smaku, wesołości, humoru, czasem czułości, a zawsze zacnej i poczciwej myśli. Byłto nasz najprawdziwszy Beranżer z talentu i nawet po części z ducha, co nam panujące w jego czasach wyobrażenia wytłumacza. W każdym razie zgromadzenie i wydanie choć pewnej części tych poezyj, nietylko pożądane ale niezbędne. W czasie jednej wielkiej przerwy w życiu narodu naszego, mieliśmy tak nazwaną Poezyą Legionów; w drugiej epoce, kiedy literackie tętą były słabo, i moda naśladownictwa szerzyła niestychaną oschłość i nudę, kraj się orzeźwiał, rozweselał lub rozrzewniał piosnką poetów, co się wcale za poetów nie mieli. Jeżeli dzisiejsze rozwinięcie literackie, ruch pi-

sarski i inne niewątpliwie pocieszające znamiona naszego czasu, nie są bez pewnej niedoskonałości, bo zaprzeczyć nie można, że dużo jest ruchu próżnego, literactwa rzemieślniczego i chlub podejrzanych; to być może, że epoki cichsze nie były bez wynagrodzenia, bo w nich odezwać się mogło tylko natchnienie prawdziwe i nie pretensjonalne. Zawsze w tém jest dowód, że życie wewnętrzne naszego narodu ani na chwilę nie było w zawieszeniu.

Kijów, dnia 11 Września 1858 r.

**Michał Grabowski.**

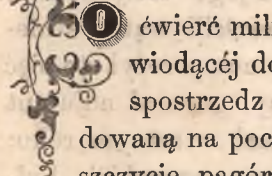
## W S T Ę P.

---

Jak to było, jak to było!

Aż pomyśleć słodko, miło.

*Bohdan Zaleski. Co mi tam.*



**O**ćwierć mili od miasta Równego, z drogi wiodącej do Kustyna, po prawej stronie, spostrzedz można wioskę nie wielką i zbudowaną na pochyłości wzgórza. Na samym szczycie pagórka wznosi się drewniana cerkiewka, ze skromną kopułką i dzwonniczką, otoczona cmentarzem wiejskim. Poniżej trochę zaległy górę rozliczne budowy gospodarskie włościan i dziedzica, stopniowo jedne nad drugimi dachy swe ukazujące. W połowie góry bieleje murowany dom właściciela wsi, ocieniony kilką drzewami; na boku po lewej stronie chaty wieśniacze i karczma; u stóp domu, nieco po prawej, stajnie i folwark, a na samym dole sadzawka, rzeźwemi zasilana źródłami, które się cisną z pod góry; dalej wesoła łąka przerznęta strumykiem, a za tém wszystkiem przeziera na tle obrazu w zafałdowaniu pagórków, cie-



nisty ze starych lip, jesionów i grabów gaik, pod-  
szyty gęstą leszczyną.

W tej wsi nazwanej Barmaki, mieszkał przed  
dwudziestą laty dawny jój dziedzic, Szymon Za-  
krzewski, herbu Jastrzębiec, starosta ostrzański.  
Osobliwszy to był człowiek ten pan starosta, i ty-  
pu ludzi podobnych naprózno by ktoś szukał dziś  
nietylko na Wołyniu, ale i w całej zapewne Polsce.  
Ten ciekawy szczątek szlachcica polskiego z wieku  
Sasów, był rodem z województwa płockiego, a przy-  
szedł na świat w 1718 r. On i jego trzej bracia,  
w hartownej budowie ciała mieścili wątek stule-  
tniego życia. Nasz bowiem Szymon przeżył sto pięć  
lat wieku, drugi brat Eustachy, generał adjutant  
i buńczuczny hetmański, zmarł w setnym roku;  
trzeci Karol marszałek ziemi zakroczymskiej, był-  
by pewno dożył wieku swych braci, jako najbar-  
dziej krzepki pomiędzy nimi, lecz został skłuty od  
Kozaków w czasach konfederacyi barskiej; czwarty  
naostatek Ignacy podwojewodzy poznański, do-  
szedł lat 97. Ci bracia żywe kłamstwo zadali Ha-  
nemanowi i całej gromadzie lekarzy i moralistów,  
którzy życie skromne i wstrzemięzliwe, podają jako  
rękojmią długiego wieku; nasi bowiem Zakrzewscy  
wszystko czynili wbrew przepisom higieny, gdyż  
byli niepomiarowanie do kielicha ochotni, do wa-  
śni skorzy, do korda junacy: słowem zawołani  
i słynni przed laty rębacze sejmikowi i dworscy.



Kiedym raz pierwszy miał zręczność poznać pana Starostę, miał on już wówczas około lat dziewięćdziesięciu. Wzrostu był miernego, lecz nadzwyczajnie krzepkiego składu ciała. Wązka frędzelka siwych włosów na tylnej części głowy, od ucha do ucha przeciągała się, cała zaś czaszka naga i łysa, kilkunastu kres od szabel nosiła na sobie piętna. Żywy rumieniec krasił twarz świeżą i jędrną, a wąs biały pokręcał się w pierścienie. Że zaś były to pierwsze jego odwiedziny w domu, którego gospodyni jeszcze nie znał, wystąpił więc strojno, wedle prawideł dawniej dworszczyzny: miał na sobie kontusz granatowy na wyloty, cieciewą obramowany, kuso podcięty; żupan siarczysty atlasowy, spięty pod szyją na brylantową spinkę; pas złotolity, szarawary ze szkarłatnego sukna; żółte safianowe buty; na palcu lewej ręki spory sygnet herbowy ryty na krwawniku, i białą czwororożną czapeczkę z drobnutkiem kasztanowatym barankiem, zawieszoną na rękojeści od karabeli w srebro kutój i przypasanej u boku na rabciach jedwabnych, przerabianych złotą nicią. W ubiorze, w stąpieniu śmiałym, w żywych ruchach, przebijała zarazem powaga i rubaszność. Wzrok tylko nieco przytępiony i czarna taftowa mucha pod lewem okiem, zakrywająca fistułę, skutek kilkodziesięcioletnich bachusowych libacyj, świadczyły, że i w jego niepożytej starością budowie, znalazły się słabsze miejsca jak owa pięta

u Achillesa. Co zaś miał szczególniejszego w sobie, to kształt nader wydatny piersi. Głos też jego zawsze donośny, gdy go natężał wołając, rozlegał się jak trąba, i o ćwierć mili mógł być słyszany. Miał zaś zwyczaj wszelkie uczucia swoje, jako to: radości, zadziwienia, gniewu, wykrzyknieniem objawiać; nałóg ten był mu wspólnym z innemi bracią, i dlatego nadano im niegdyś przezwisko krzykaczy Zakrzewskich.

Gospodarz domu, w którym zjechałem się z panem Starostą, był starym jego znajomym, jeszcze z owych czasów, gdy szwadronem kawaleryi narodowej w partyi ukraińskiej dowodził; pan Starosta zaś, dobra dzierżawą trzymał od Lubomirskich w Smielańszczyźnie, i od lat trzydziestu nie widzieli się. A więc według dawnego obyczaju podano wina; szły gęsto spore kielichy węgryzna, rozmawiano o lepszych czasach, o starych znajomych i przyjaciołach.

— Czy pamiętasz panie Pułkowniku, — rzekł Starosta, — jakieśmyto w Żabotynie z waszym brygadyrem Dzierżkiem dokazywali? Waszeć jeszcze młody byłeś i do kolejnego nie stawałeś, boć to między nami podobno o trzydzieści lat różnicy; ale za to bardzo żwawy i zaderwisty z sam-pana był chłopak.

— O! pamiętam, mości Starosto; wszakcito ja byłem podówczas adiutantem brygady. Nasz Dzier-

żek arcy-sumienny był do kielicha, i mawiał o sobie, że z nim w nocy nawet pogasiwszy świece, na śmiało pić można, bo nie zdradzi przyjaciela i za kołnierz nie wyleje.

— Ho! mieliście panie Marcinie takich sumiennych dużo. Poczciwy tylko Mazur Drohojewski, wasz wice-brygadier był jeden, który nie pijał, bo mu zdrowie nie dozwalało: ależ za to męczył was narodowców na musztrach i do karności wojskowej naginał.

— Ten, mości Starosto, był dobry i wzorowy żołnierz, aleśmy go zbyt prędko stracili: umarł bowiem na suchoty.

— Niedziwota Mospanie, bo zaniedbał odwilżać się. Ej! czy też przypominasz sobie mój dobrodzieju, jaką to ja raz szóstką tarantów zajechał do Dzierzka?

— O! jak dziś pamiętam, podobały się mocno wszystkim: cóż bo to za zgrabne i urodziwe były rumaki! A jak doskonale maścią dobrane, kula w kulę — a jak dzielnie ujeżdżone! Sześć koni wzdłuż parami, od jednego tylko forysia z kozła pędzonych, a tak sfornych; to cug nie lada! Pamiętam, jak przejeżdżano po obszernym żabotyńskim dziedzińcu, jak wielkim rozpędzone kłusem rysowały na trawniku ósemki, których lepiejby i pojedynczy harcownik wypisać nie mógł. Dało to powód do potężnej pijatyki, w której nietylko pana



Starosty zdrowie wychylano duszkiem, lecz i woźnicy i każdego taranta po kolei, a nawet podobno każdej nogi końskiej poszczególe. Ależ naostatku, dały się we znaki pięknym tarantom owe oklaski, bo na dobitkę siedliście państwo z brygadyerem, oba tego podchmieleni, do kolasy, każąc wypuszczać co siły i zawracać to na lewo, to na prawo, dopóki aż poplątane w szorach konie nie popadały i powozu nie wyrzuciły.

— Ho! jakoś, mój dobrodzieju, obeszło się bez szwanku: pasy się tylko porwały. Przedałem później tę moją szóstkę księciu Xaweremu Lubomirskiemu, jak się miał żenić z Potocką, i dał mi za nią sześćset czątych. A czy pamiętasz panie Pułkowniku, jakeśmy się skłócili po pijanemu i wyzwali z Trzaskowskim?

— Czemu nie, mości Starosto; i gdyby nie Drohojewski się wmieszał, jużście się brali do pistoletów. Ale wice-brygadier rozprowadził was po stancyach i przydał straż każdemu do drzwi.

— Oj tak, mój Dobrodzieju! Ja jednak nazajutrz wykradłem się oknem za miasteczko, i ztamtąd wyprawiłem zawiadomić Trzaskowskiego, że go czekam na placu z pistoletami na rozesłanej burce. Ale Drohojewski przybywszy na miejsce, tyle na nas wymógł, żeśmy się pojednali, i ręką w zgodę przybili. Pocieszna to była postać tego Trzaskowskiego: dorodnego wzrostu i okazałej postawy chłop,



a na łbie, wąsach i brodzie ani mu jeden włoszek nie wyrastał. To też kiedy później zamieszkał nad Dniestrem, a handlarze tureccy przybyli do niego za kupnem masła, zdumieli się na widok tej krągłej i nagięj głowy i twarzy bezwłosej, a biorąc go za jakieś olbrzymie dziecko, jeden rzekł zepsutą ruszczyzną: „*mołoda bude wetyka,*” drugi zaś na gorszy wpadając domysł, odpowiedział mu: „*niet, on werno kislar-aga Lackoho Stana.*” Wypchnął ich rozgniewany Trzaskowski. Ale, ale, nie zapomniałeś, mój Pułkowniku, o owęj przygodzie w Korsuniu p. Antoniego Strzemienia?

— A, to była komedia, Mości Starosto, naśmialiśmy się do woli z naszego kolegi. Wszak to on wracając nocą do swojej kwatery od brygadyera, u którego na wieczerzy dobrze pociągnął, i że było błoto po deszczu, pośliznął się i wpadł w dół około cegielni, a nie mogąc się wydobyć, usnął tam szczęśliwie na miękkim. Przebrana miara w winie, sprawiła, że pies wietrzący posiłku zaczął mu twarz oblizywać; rozmarzony pan Antoni, mniemając że to balwierz mydli mu brodę, rzekł, nie otwierając oczu: „tylko ty żydzie ostrożnie z brzytwą, żebyś mię nie skaleczył.” Usłyszawszy przechodzący ową przestrożę daną kondlowi, wydobyli pijanego z jamy i odprowadzili do domu, ale tajemnicy nie dochowali.

— Ho! mój Dobrodzieju, ten pan Antoni Strzemieniec, mniej podobno był ochoczy do wojennego

szyku niż do szklenicy. Ale za to zawołany gospodarz, i pięknego przydbał grosiwa: dzierżawił on, jak większa część waszych narodowców z partyi ukraińskiej, znaczne dobra od pani Sołtykowej starościny zwinogrodzkiej, i ubawił mię sposobem, jakim wyciskać kazał raty karczemne od opieszających arędarzy. Nie grabił ich, nie zabierał ruchomości, ani żadnych gwałtów nie wyrządzał, ale wymyślił rodzaj egzekucyi dokuczliwej. Do żyda albowiem, na którym rachowała się zaległość, posyłał dwóch zwykle folwarcznych kozaków, nauczonych co robić mają. Ci przyszedłszy do karczmy, pozdrowili naprzód gospodarza, mówiąc mu: — Panie arędarzu, rata. — Nu, herste, poczekajcie. — Dobrze, ale rata. — Przekąście ryby panowie kozacy. — Podawaj, ale rata. — Podjadłszy, szli mu dziękować wrzeszcząc w uszy, rata. Ta nieszczęśliwa rata tętniła dzień cały w głowie nierzetelnego Izraelity; bo kozacy luzując się naprzemiany, co chwila wołali nad nim: rata, rata, rata, i raz pojedynczo, to znowu dwugłosem powtarzali mu też samą piosenkę. Gdzie się tylko żyd obrócił, ona mu wszędzie nieodstępna była towarzyszką, jak zbrodniarzowi wyrzuty sumienia. Szedł mu ją kozak przypomnieć w komorze, zląził za nim z ratą do piwnicy, gramolił się w jego tropy po drabinie, aby ją żyd usłyszał pod strychem. Gdy zmęczony Judaszek zabierał się do spoczynku, na dobranoc hukali mu

kozacy, rata! W pośród najsmaczniejszego snu, rozbudzony bywał odgłosem, rata! dobitnie w ucho zawrzaśniętym. Na dobrydzień słyszał rata i rata. Rzadko który ze starozakonnych był tak upartym i zatwardziałym dłużnikiem, aby dotrwał do dnia trzeciego bez uiszczenia się Strzemińcowi: zapożyczył się na szyję, zastawił muszki żonine i świąteczny swój łapserdak, aby się tylko uwolnić od natrętniej kozackiej raty. Nie wiem też mój dobrodzieju, czy żyje jeszcze poczciwy Czarkowski? Ten z nas najstarszy był wiekiem, ale za to i najmajątniejszy.

— Już od lat kilkunastu przeniósł się do wieczności.

— Szkoda go, zacny był człowiek, i żartobliwy przytém, a chociaż skrzętny, jednak dopomódz przyjacielowi lubił. Pamiętasz, panie Marcinie, jak się odciął na owym obiedzie u Tyszkowskiego? Gdy on dworując z twego młodo-gospodarskiego zasobu i nieopatrznej spiżarni, rzekł: — Czy wiecie, że u naszego Chorążego zdechł pies w kuchni z głodu? — Istotną prawdę mówi pan Porucznik, odpowiedziałeś, chciałem już w niedostatku lepszej strawy, tego psa kazać sobie ugotować, ale mnie uprzedził kucharz Jegomości i zabrał go na pieczeń dla swego pana. — Powstał śmiech powszechny, — masz za swoje Czarkowski, — wołano, a wy oba uściskaliście się serdecznie.



— Pomnę ja mości Starosto, nierównie lepiej uczynną jego dla mnie przyjaźń i ojcowskie przestrogi. Młody, nie rachunkowy, lubiłem się stroić i występować. Zabrakło pieniędzy, więc do pana Czarkowskiego:—Pożycz sto dukatów. — Pożyczę, rzekł, ale nie inaczej, aż mi dasz na siebie kartę, którą ci sam podyktuje.— Naglony potrzebą, siadłem do napisania onego cyrografu, który był następującej treści: „Niżej podpisany pożyczylem od W. Czarkowskiego sto czerwonych złotych ważnych holenderskich, które za rok wypłacić powinienem bez procentu, ale natomiast, przyrzekam i obowiązuję się uczciwem słowem oficerskiem, że odtąd ani więcej fręzli i haftów na czapraku czepiać, ani szerszych galonów i zawieszistszych sznurów i kutasów u munduru nosić, niż jest przepisano wojskowemi ustawami, nie będę, i od wszelkich nadal niepotrzebnych a zbytowych wydatków wstrzymać się mam.” Podpisałem z ochotą takowe zobowiązanie się, a nauka wyszła mi z czasem na dobre.

— Kogo mi szczególnież żal dotąd, panie Marcinie, to waszego Dunikowskiego. Co to był za urodziwy młodzieniec, a jaki szykowny i towarzyski chłopak. Powiadano zaś, że i wojak z niego był niepospolity.

— Był to, mości Starosto, najlepszy mój kolega i przyjaciel; żyliśmy z sobą jak dwaj bracia. Ile był piękny z postaci, tyle słodki w obcowaniu



i nader szlachetnego a odważnego serca. Znalazł też śmierć godną walecznego żołnierza, bo zginął na szwedzkich bateriach pod Warszawą, dowodząc brygadą w czasie powstania 1794 r.

Wśród takowych rozmów, nie próżnowały kielichy, a coraz nowe wymyślano zdrowia i wiwaty, jako to: pana Starosty! gospodarskie! ukontentowanie służenia w domu moim panu Staroście! gospodyni! nieobecnej pani Starościny Dobrodziejki! konsolacyi JW. Starosty! konsolacyi W. Pułkownika! zdrowie poczciwych! serce i łaska pana Starosty! *Szczoby tycha neznaty!* Wiwat, kochajmy się! i naostatek: kto nie pił na wsiadany, jak gdyby nie nie pił! Ten toast spełniono raz w sieni, powtórzono na ganku, a trzeci raz już w samej kolasce, do której wsadzano podchmielonego pana Starostę, w czasie, gdy pijany gospodarz wygramoliwszy się na stopień od powozu, od dwóch służących pod rękę był utrzymywany.

Nieraz mi się potem zdarzało bywać w domu pana Starosty w Barmakach, i być świadkiem jego szumnej, staro-polskiej gościnności, chociaż mnie, jako zbyt jeszcze młodego, od kielicha uwalniał. Gdy zaś sami tylko domowi siedzieli u stołu, miał zwyczaj, wzięwszy w rękę pierwszy kielich wina, każdemu z obiadujących oświadczyć po kolei, iż pije za jego zdrowie, a potem obracał się do starego sługi, który za jego stawał krzesłem i którego, choć

już miał lat sześćdziesiąt, chłopcem nazywał, mówiąc: „Janku! twoje zdrowie.” A naostatek odchrząknawszy i zbliżając kielich do ust, odzywał się: „Niechże będzie pochwalony Jezus Chrystus!”

Grzeczność jego dla kobiet była pełna uszanowania, chociaż rubaszością zaprawna. Gromił rozpierającą się przy nich młodzież: wzbraniał palenia tytoniu w ich obecności. Przybywające zaś damy do swego domu, szczególnież te, którym był bardzo rad, witał zwykle na progu, a schwyciwszy na ręce, wnosił z krzykiem radośnym do bawialnego pokoju. Te, którym pierwszy raz zdarzyło się zrobić podobny wjazd tryumfalny, przez sień, przedpokój, jadalnię, na barkach pana Starosty, bywały trochę pomieszane nowością przywitania; lecz dawno znajome sąsiadki, spokojnym umysłem przyjmowały tę nowacyą. Pamięć jego była zadziwiająca: mało piśmienny i nie czytający nic prócz Kalendacza i Złotego Ołtarzyka, nie mógł ani z książek, ani z domowych notat odświeżać wspomnień wypadków zaszłych w ciągu długiego życia; ale karbował je niejako w swoim umyśle. Mniej mocny w datach, nazwiska osób doskonale pamiętał. Otwarty i szczerzy, jak ów Epaminondas, o którym nigdy nie słyszał, brzydził się kłamstwem, a prawdę każdemu w oczy mówił.

---

## I.

Každy w pijaństwie dziwne rzeczy broił:

August Sas Polskę do reszty rozpoił.

*Krasicki. Myszois. Pieśń X.*

W roku 1817 jadąc z Warszawy, wstąpiłem do Barmak.— A! witaj-że! witaj mój dziarski chłopaku, zawołał pan Starosta, gdy mu wymienilem moje nazwisko, bo już prawie zaniewidział na oba oczy. Ach! jakże jestem szczęśliwy, że mogę powitać w domu moim polskiego żołnierza, ubranego w narodowe kolory, granat z karmazynem!— Ja wprawdzie służąc w pułku strzelców konnych gwardyi, miałem na sobie mundur zielony z żółtymi wyłogami, ale nie chcąc zasmucać pana Starosty, nie wywiodłem go z błędu, i owszem uprosiłem wszystkich, aby go zostawili w mniemaniu urojoném co do barwy szat moich wojskowych. Cztery dni gościłem w Barmakach, a starzec ani się domyślał, że ma na załodze żołnierza strojnego w jajecznią, tak



bowiem zwał pierwotny mundur gubernii wołyńskiej, który właśnie temiż samemi odznaczał się kolory, co później na strzelcach gwardyi jaśniały.

Mniemany granat z karmazynem w dobry bardzo humor wprawiły pana Starostę, zjednały mi jego uprzejmość. Rzekł do mnie: — I ja też kiedyś mój Dobrodzieju nosiłem te barwy, jeszcze za króla Sasa, bo miałem sowity poczet w pancernej chorągwi rotmistrzowstwa ks. biskupa krakowskiego. Ej! czasy to były! złote czasy! Piliśmy Mospanie i biliśmy! Pamiętam jak dziś, byłem podówczas pierwszym szatnym u dworu wojewody kijowskiego Salezego Potockiego. Był to pan możny i wspinały, ale wielce dumny. Koło rycerskie miało się zbierać we Lwowie. Owoczesny hetman wielki koronny Józef Potocki, zwoływał tam wojsko do popisu. Nasz wojewoda chciał mieć koniecznie białego konia dla wjechania do koła. W stajniach pańskich w Krystonopolu było ich mnóstwo, ale między białemi żaden się nie znalazł dość okazały k'woli pana wojewody. Ja właśnie nabyłem niedawno ślicznego cace wierzchowca téj maści od Kozieradzkiego, który był koniuszym u wojewody Miera; przywiodłem go więc na rozkazy mego pryncypała, który mi sownie za tę moją przysługę wywdzięczył się, bo mi i konia dzielnego w sutym rzędzie, i pas lity, i szubę kosztowną ze swego ramienia darował. Później ów koń biały, po różnych ko-



lejach, dostał się na starość w Warszawie do karety posła francuzkiego.

Owóz tedy wyruszyliśmy z Krystynopola z wielkim dworem i kawalkatą. Szły cugi, karety, kolebki, bryki, konie powodne, nadworne wojsko, piechota, janczary, dragonia, rajtary i kozacy z pułkownikiem swoim Ortyńskim. Był przy nim młody assaula, przezwiskiem Gąta, urodziwy i praworny chłopak; wpadł on później w oko panu wojewodzie kijowskiemu, a że znalazł w nim gotowość na wszelkie rozkazy, więc polubiwszy go, wzbogacił, nadał mu kilka futorów i mianował z czasem pułkownikiem humańskich kozaków. Ten to sam rozwydrzawszy, tyle później nabroił w kraju. My dworzanie jechaliśmy konno przy karecie wojewody, a każdy z nas miał jednego lub dwóch barwionych pacholików. Taka ogromna karawana, nie łatwo po miasteczkach pomieścić się mogła: wyprzątaliśmy karczmy nietylko ze śmieci, ale i żydów. Czwartego dnia nakoniec stanęliśmy pode Lwowem, i rozbiliśmy namioty nasze obok innych już tam obozujących wojsk komputowych, lekkich i nadwornych.

W dniu naznaczonym do popisu, uszykowały się wojska na równinie za Lwowem, a zaszedłszy skrzydłami, ogromny utworzyły okręg. Nieco po dziewiątej z rana przybył do koła JW. hetman W. koronny, przeważna w kraju osoba, i głowa mo-

znego domu Potockich, w licznym orszaku magnatów, senatorów, regimentarzy i rotmistrzów. Nie siono przed nim buńczuki, znamiona i szachownice. On zaś sam starzec blisko osiemdziesięcioletni, odziany w lekką zbroję, szyszak i bogatą ferezyą, trzymał w ręku wielką buławę, suto drogami nasadzoną kamieniami, a konia pod nim prowadziło dwóch strojnych pajuków, dwóch zaś drugich postępowało przy strzemionach. Pan wojewoda kijowski w gronie hetmańskim wjechał do koła na moim łabędziu; a jako rotmistrz husarskiego znaku chorągwi swego imienia, był w pełnej zbroi i hełmie z lamparcią skórą na barkach, którą spinał ogromny szmaragd. Koń zaś cały w żelazie z wiszadłami i czubami na łbie, złotą do ziemi okryty siatką. Inni też panowie i majątna szlachta nie ustępowali w przepychu. Dalipan, było na co spojrzeć. Zbroje i pancerze świeciły się od złota, srebra i stali; a kity i zapony dyamentowe, a kosztowne i ozdobne burki, adamaszkami podbite, a rumaki jakie dzielne (już teraz takich ani widać); a rzędy na nich jakie sute, sadzone perłami i turkusami, a czapki i dywdyki ze złotój lamy lub drogich futer!

Tandem tedy JW. wódz rozpoczął przegląd wojska, zaczynając od poważnych husarskich i pancernych znaków, a kończąc na lekkich chorągwiach i pułkach cudzoziemskiego autoramentu. Postępował zwolna noga za nogą po przed szeregi, czy-

niąc swoje uwagi, chwając, upominając, zachęcając. Niektórym chorągwiom komputowym odłamywać się gęsiego rozkazał, dla przypatrzenia się pojedynczym jeźdźcom. Oświadczył wreszcie zadowolnienie i dowódczom i towarzyszom: bo też wszyscy wystąpili i butno i okazale. Ale wam młodym napróżnoby i opisywać co to był towarzysz husarski z kopyją, lub pancerny z proporcem. Kto ich własnymi nie widział oczyma, to ani wyobrażenia mieć nie będzie, ani wiary nie da, co za przepych jaśniał w ich rynsztunku i stroju. Wprawdzie nie było wówczas téj jednostajności w ubiorze i uzbrojeniu, której dziś poszukują w wojsku; ale przy każdym towarzyszu, pojedynczo gdy wystąpił, terazniejszego generała w kąty się schował ze szlifami i chudymi haftami swojemi.

Po skończonym popisie, magnaci zebrali się pośrodku, a JW. hetman miał mowę, z której dla odalenia nie wiele dosłyszałem, a prawdę mówiąc, i nie wiele z niej zrozumiałem, gdyż była gęsto łacińskimi wyrazami naszpikowana; ja zaś uciekwszy ze szkół Jezuickich z Infimy, bóm się uczyć nie chciał, nie pojmowałem tych mądrych rzeczy. I drudzy także panowie zabierali głos: każdy z nich niby to radził coś o dobru publiczném, ale teraz widzi mi się, że oni poszepty własnej dumy więcej mieli na celu. Jakoż przedarło się do uszu moich, że wielki hetman miał jakieś nieukontentowanie do króla Au-



gusta III, i to koło rycerskie zwołał dla poburzenia umysłów przeciwko Sasowi. Ale nie było z tój mąki chleba: bo biskup krakowski, Jan Lipski, wdał się w to jako rozjemca, ułagodził hetmana i jego stronników, a tak one knowania na niczém spelzły. Koniec końców, rozjechaliśmy się jedni po gospodach, drudzy po namiotach, a potem każdy do swego domu na lusztyki i obiady. Bankietowano tak dni kilka. Co wina, miodu, gorzałki wypito, to zlawszy w jedno, młynby zamęł. I szable też nie próżnowały; szlachta podchmielona, kiereszowała się między sobą: nie byłem i ja lepszy od nich. Pamiętam raz do winiarza, gdzie z kilką kolegami i przyjaciółkami biesiadowałem, i byliśmy już dobrze pod hełmem, przyszedł niejaki Śliwiński, ode dworu wojewody ruskiego księcia Augusta. A trzeba wiedzieć, że między partya Czartoryskich i Potockich, było zawsze na bakier. Otóż moi Dobrodzieju, do owego Śliwińskiego miałem prócz tego na pieńku, bo to była jakaś przemądrzała sztuka: gadał podobno po francuzku, a na staroświeckich okiem przęnosił. Ja zaś tych szołdrów Niemców i tych *nonsie parle franse* cierpieć nie mogłem. Dałem mu przeto zaczepkę: słówko do słówka, przemówiliśmy się grubo, więc do kordów: natarłem na niego żwawo krzyżową sztuką; on to jakieś niby odbicia szermierskie zaczął robić, ale jakim go Mospanie palnął na odlew w łapę, to aż mu szabla wypadła z ręki,



a przy niej dwa palce na podłogę. Panie Boże odpuść, żal mi się go zrobiło, ale już po niewczasie; szczęściem że był cyrulik nieopodał, opatrzył mu rany, i jak później dowiedziałem się, wylizał się z biedy. A że nauka nie wiezie w las, przestał więc szlachtę pospolitować. Oj! tak, tak, Mospanie, piliśmy przed laty i biliśmy; szkoda tylko, że się szablice na bratnich łbach tępiły.

— Pozwoli sobie pan Starosta zrobić jedno zapytanie: powiedziałeś pan, żeś był szatnym u wojewody kijowskiego; cóż to za obowiązek?

— Mój Dobrodzieju! trzeba żebyś o tém wiedział, że staropolscy panowie nie byli to tacy, jak terazniejsi co ich widzimy, co ani fortun takich nie mają, ani takiego znaczenia, zwłaszcza po upadku kraju. Dzisiejsi nibyto panowie gardzą bracią szlachtą, bo im niepotrzebni, a radziby ich ze skóry obedrzeć. Nie pożywi się przy nich, chyba jaki zaświadowca kluczowy, albo folwarczny, i to kiedy dobrze o sobie pamiętać umie; a jak komu z obywateli wioskę dzierżawą puszcza, to tak wyciągną inwentarz, że nie jeden co przyjechał kolaską, z biczem tylko częstokroć odchodzi. Dawniejsi magnaci byli całą gębą panowie. Rozległe majątki w Koronie i w Litwie, na Wołyniu i na Ukrainie, dostarczały im sposobów i żyć wspaniale, i wojsko nadworne utrzymywać, a szlachtę uboższą wspierać i gromadami żywić koło siebie. Wprawdzie dla znaczenia

w kraju i przewagi na sejmach i sejmikach, możnowładcy potrzebowali otaczać się licznym orszakiem stronników swoich. Ztąd każdy szlachcic, a zwłaszcza kiedy był zuch i śmiały do korda, znalazł u panów uprzejme przyjęcie, i starali się go zaciągnąć w poczet domowników swoich. Mój naprzykład, świętej pamięci brat Karol, był marszałkiem dworu u księcia Ordynata Sanguszki, ale że to był zawadyaka i sławny sejmikowy rębacz, księżę podstoli koronny Lubomirski, żeby go nie mieć przeciw sobie, a raczej za sobą, za to tylko że się pozwolił wpisać w poczet dworzan rowieńskich, dawał mu corocznie 4,000 tynfów jurgieltu, chociaż nieboszczyk Karol w Dubnie ciągle przemieszkując, rzadkim bywał gościem rowieńskiego pałacu. Prócz braci szlachty, wielu też i możniejszych obywateli, kasztelanowie i podkomorzowie oddawali synów do dworu, dla ogłady i okrzesańcia się. Ci się zwali respektowemi dworzanami, i nie pobierali jurgieltu, lecz tylko obroki dla koni i strawne dla sług; chudszym zaś skarbnikowiczom i podstolicom, dawano rocznie po 500 tynfów, barwę i strawne dla pacholika i obrok na dwa wierzchowce. Krystynopolski dwór jaśniał między pierwszemi w Polsce, a marszałkami bywali książęta i starostowie. Ale zboczyłem od rzeczy. Pytałeś się mnie, co miałem za powinność będąc pierwszym szatnym? Obowiązkiem moim było asystować przy ubieraniu się pana woje-

wody: miałem pod rozkazami dwóch kamerdynerów, balwierza i czterech barwianych pokojowców, którzy odziewali pana, a po skończonym stroju, gdy już miał wychodzić na pokoje, moją powinnością było tylko przypasać mu do boku karabelę i podać soboli kołpak. Zwykle zaś pan wojewoda, gdy chciał wystąpić, karabelę srodze kosztowną nosił na prostym czarnym rzemyku, z surowcu wyrobionym, który jednak nie był tak podłym jakbyś mniemał mój bracie, bo wysadzony był jak długi strumieniem soliterów. To mi przypomina owego wilkołaka starostę kaniowskiego, który aby się odznaczyć, przywdziewał czamarę z grubego pakłoku, podszytą najdroższymi aksamitami, aby mówiono: że poznać pana po cholewach. Owóz ja, za tę moję posługę pobierałem rocznie 2,000 tynfów i na dwóch pacholików barwę i strawne, a obrok na cztery konie.

— Nie wiele zaiste pracy miał pan Starosta — rzekłem — ale téż i wynagrodzenie było nie nazbyt hojne.

— Co mówisz mój Dobrodzieju? Wiedz naprzód, że wartość owoczesna pieniędzy wyższa była niż jest dzisiejsza, a zaspokojenie potrzeb nierównie tańsze; a powtóre, za nicze-to liczysz względy pańskie, za nic urzędy ziemskie i wojewódzkie i królewsczyzny, za ich staraniem pozyskiwane dla zaможniejszych dworzan, a dla uboższych żonki posażne wyswatane, wioski tanio wydzierżawione,



w zastaw, lub dożywocie oddane?... Umieli zaiste dawni panowie wynagradzać szlachtę, która się im dobrze zasługiwała, i dlatego to urosło owe stare przysłowie: „*Wielkiego dworu klamki się trzymaj?*” Ale to już zwietrzałe dzieje. Ot, lepiej powiedz mi Waspan, co wy tam w tej waszej Warszawie porabiacie? Słyszę, że miasto buduje się i ozdabia. Możebym jęj dziś i nie poznał przyjechawszy, bo już kawał czasu minął jakim tam był.

— A kiedyż pan Starosta był ostatni raz w Warszawie?— zapytałem.

— Ho! mój Dobrodzieju, już to lat temu kilkadziesiąt: znajdowałem się na sejmie konwokacyjnym, który poprzedził elekcją króla Poniatowskiego.

— To było — rzekłem — w r. 1764, a więc już temu lat 53.

— Oj! tak, tak, — zawołał — lata biegną, od tego czasu noga moja nie postała w Warszawie. Smutny to był ten ostatni nasz sejm przed-elekcyjny. Ja przynajmniej z tej mojej bytności w Warszawie uniosłem w sercu słodką pamięć o dopełnionym świętym długu wdzięczności dla zacnego i czcigodnego starego hetmana Branickiego, nie tego z Białejcerkwi, chowaj Boże! ale onego Jana Klemensa, herbu Gryf Branickiego, co to w Białymstoku pomonarszemu mieszkał, a był i hetmanem W. koronnym i kasztelanem królewskim. Ten dostojny pan a godny wnuk Stefana Czarnieckiego, któremu serca

większej części narodu koronę przeznaczały, lubo się o nią nie starał, widząc na co się zanosi, i że sejmujące Stany, rade nie rade, tańczą jak im zagrają, chociaż był szwagrem Poniatowskiego i powinowatym Czartoryskich, jednak z własnego umysłu i za poradą generała Mokronowskiego, postanowił opuścić sejm i wyjechać z Warszawy. Wedle praw istniejących, sejm ten już był zerwany przez Mokronowskiego, i stary marszałek Małachowski uniósł laskę z izby poselskiej. Ale przemożne stronnictwo które rej wodziło, nie chciało tego przypuszczać, a wybrawszy nowego marszałka, zagroziło hetmanowi W. koronnemu, że zostanie przytrzymany, jeżeli poważy się oddalić przed zakończeniem sejmu. Ale sędziwy Gryf nasz wzgardził pogroźkami, a zebrawszy dwór swój, przybocznych janczarów i Węgrów i nieco komputowego wojska, kazał gotować się do podróży. Gruchnęło pomiędzy szlachtą, że gwałt ma być wyrządzony dostojnej osobie starego hetmana. Ja, brat mój Karol i Tresenberg, przyjaciel nasz, zagrzialiśmy i zebrali około pięciuset szlachty, i poprzysięgliśmy, że gdyby do tego przyszło, tedy przebojem uprowadzimy hetmana na bezpieczne miejsce. Stało się. Wyruszył Branicki ze swego pałacu na Podwału, z licznym orszakiem, do którego wielu senatorów i posłów koronnych i litewskich i my bracia szlachta przyłączyliśmy, się wszyscy konno i zbrojno, gotowi

przemoc odeprzeć przemocą. Jam jechał tuż przy karecie hetmana, któremu i żona w podróży towarzyszyła. Za Mokotowem stał obóz rossyjski, rozłożony o w pół strzału karabinowego ponad drogą, i wojsko pod bronią uszykowane czekało przy samym okopie. Posuwaliśmy się zwolna w milczeniu i porządku. Nie pozdrowiono się wprawdzie nawzajem, ale widać, że zaczepne rozkazy nie były dane, bo nam spokojnie i swobodnie dozwolono dalszą ciągnąć podróż.

Zatrzymaliśmy się na nocleg w Piaseczny. Tam stanęła rada ogłosić konfederacyą: w Koronie pod laską naszego hetmana, w Litwie zaś pod księcia wojewody wileńskiego. Nazajutrz o świtaniu rozłączyli się ci dwaj magnaci: Radziwiłł *Panie kochanku* skierował ku swęj Litwie, my zaś ruszyliśmy do Sandomierza, gdzie hetman wojsku koronnemu i szlachcie naznaczył zebranie.

A tymczasem sejm, za oddaleniem się tylu senatorów i posłów, za ledwo czwartą część głosów liczący, gwoli nieprzyjaciół Branickiego, odjął mu władzę hetmańską, poruczając księciu wojewodzie ruskiemu jeneralne regimentarstwo, z rozkazem ściągania uchodzącego z pomocą nawet wojska cudzoziemskiego. Przyspieszył kroku i nasz stary hetman, zdążając ku Sandomierzowi. Ale tam winą, wahaniem się i opieszałością wojewody kijowskiego w nierozesłaniu ordynansów i uniwersałów, zawie-



dziony został w swoich nadziejach, gdyż ani jedna chorągiew na czas nie przybyła. Zrażona niepowodzeniem szlachta, rozjeżdżała się zaraz po domach; senatorowie również zaczęli żegnać hetmana, obiecując powrót w pogodniejszej chwili. Nie było czego dosiadywać w Sandomierzu, bo pogoń zbliżała się. Przeprowadziliśmy się i cofnęli do Samborza. Lecz i tam długo popasać hetmanowi wielkiemu nie dozwolono. Ścigające go wojsko, pomnożone nowemi posiłkami, przecięło drogę chorągwiom, które przecież spieszyły dla połączenia się z swoim wodzem. Ku węgierskiej zatem granicy obróciliśmy kroki. W tym pochodzie, nieraz napastowani i okrążani, szablą torowaliśmy sobie drogę. Mokronowski nam przewodził i nie szczędził siebie, a ja też z bratem Karolem przy jego boku poszczerbiliśmy kordy, kierując tych, co nam zastępowali na szlaku. Dobiliśmy się przecież do Spiża, gdzie wolen pogni odpoczął sędziwy hetman, czekając dalszych wypadków. Tu dopiero opuściliśmy go ze łzami, rzewne od niego otrzymawszy pożegnanie. Karol mój udał się ku Mazowszu, ja zaś powędrowałem ku moim Barmakom i ku nieboszce mojej żonie, za którymi już mi tęskno było. Siła już lat jak się to działo, ale obraz Klemensa Branickiego dotąd żyje w mojem sercu, bo i on też życie mi darował. I jeżeli dziś, mój przyjacielu, widzisz przed sobą stuletniego prawie starca, tedy po Bogu, jego to ludz-



kości, przebaczeniu winy i miłosierdziu obowiązany jestem.

— Niech mi daruje pan Starosta, że go utrudzam pytaniami mojemu; ale ciekawy jestem, jaką to łaskę tak wielką wyrządził panu dawny hetman Branicki?

— Mój Dobrodzieju! odwieczna to historia burzliwej mojej młodości i szaleństwa, i nie wiele przynosi mi zaszczytu. Ale przed tobą wypowiadam się chętnie, bo wiesz jak to starzy radzi bzdurzyć o przeszłych czasach, i wspominać dzieje junactwa swego.

Tandem tedy, było to jakoś w pierwszej połowie panowania króla Sasa Augusta III. Przybyliśmy do Warszawy z panem wojewodą kijowskim Potockim; jak zawsze, tak i wtedy miał dwór liczny, a że pałac Potockich na Lesznie nie mógł nas wszystkich pomieścić, stanęliśmy więc gdzie kto mógł gospodą. Przyjaciel mój i kolega Zborowski wynalazł sobie stancję opodal na Lesznie, ja zaś na Orlej ulicy. Owóz tedy poszedłem go odwiedzić. Zebrało się nas kilku, dalejże luszykować! Na nieszczęście piliśmy piwo angielskie, a ja ilekroć podchmieliłem sobie tém piwem, zawsze bywałem obraźliwy i szukający kozery. Przyniosło nam lichoniejakiego kasztelanica Zielińskiego; służył on u tegoż co i my dworu, ale był to sobie paniczek do którego dawno już miałem anse, bo kiedyś wziął



przedemną krok w polskim tańcu, a drugą razą do mazura capnął mi prawie z przed nosa pannę podstolankę wendeńską. Że zaś posunąłem się był ku ławie na której siedziała w postawie zapraszającej, musiałem więc, żeby nie odejść z kwitkiem, wziąć do tańca obok siedzącą opasłą ochmistrzynię, co mi ściągnęło kilka szyderskich żarcików ze strony panien. Na pokojach pańskich wzniecać kłótni nie wypadało; namotałem więc to sobie na wąs, aby w sposobniejszej porze obliczyć się ryczałtowo z tym gagacikiem. Sam mi ją właśnie nastreczył, bo w rozmowie, coś mi przeciwieć się i przycinać zaczął. Ja z natury niebardzo cierpliwy, a po angielskim piwie łaskotliwszy jeszcze, powiedziałem mu wręcz, uczciwszy uszy: *milcz błażnie!* Porwaliśmy się za barki; przyjaciele wpadli, rozerwali nas, a widząc że mi się rozjadł ze złości, wyprowadzili z izby pana kasztelanica, odgrażającego się do jutra, mnie zaś rwącego się za nim, przytrzymano. Ale ja długo nie mogłem się wysapać; prosiłem więc Zborowskiego, aby mi dał swego wierzchowca dla przewietrzenia się po mieście, i ukołysania gniewu, który wrzał we mnie. Przyprowadzono mi konia. Byłto, jak dziś pamiętam, cisawy kasztan, z gwiazdą na łbie, obie zadnie pęciny białe, chrapy otwarte, nogi suche i sprężyste, ogon lekki i odsadzony, słowem, toku i porody tureckiej. A że Zborowski liczył się równie jak ja za towarzysza w chorągwi



pancernej, więc i koń był w rzędzie wojskowym, i w olstrach u lęku znajdowała się para pistoletów, na moją biedę nabitych kulami. Dosiadłem tedy owego kasztana, a że rumak był dzielny, zacząłem więc harcować po ulicach. Dzień miał się już ku schyłkowi, i nimem dojechał do Krakowskiego-Przedmieścia, dobrze już zmierzchać zaczęło. Naprzeciw Bednarskiej ulicy, gdzie przesmyk najwęższy, spotkałem jakąś ogromną kawalkatę, otaczającą z przodu, z boków i z tyłu karete, w której zapewne jakiś magnat siedzieć musiał. Laufer z zapaloną pochodnią biegący przodem, wołał: z drogi! z drogi! ale ja zajmując na moim dżanecie sam środek wąskiej ulicy, możebym i prymasowi i Sasowi nie ustąpił z drogi. Zwarłem tedy rumaka wędzidłem i łydką, i w podsadach ruszyłem wprost. Laufer podufały, widząc że mu nie umykam na stronę, uderzył mi konia rozpaloną pochodnią i osmalił poję od mundurowego kontusza. Ha! do stu katów! złość mię wzięła. Wrzasnąłem na całe gardło i w mgnieniu oka dobywszy korda, zwróciłem konia, natarłem na tego łotra laufra, i palnąłem go Mospanie po łapie tak, że mu pochodnia z pięścią razem na bruk upadła. Zwalił się na ziemię kusy Niemiec. „Zabił! zabił!” krzyknęli assystujący konno przy karecie; „łapaj go! łapaj!” wołano, i hurmem na mnie natarli. Ale rozjuszony już będąc, uderzyłem sam jeden na ten tłum, i jakem zaczął machać sza-

blicą i w prawo i w lewo, nie dotrzymali placu, i poddając tył, oparli się aż o karetę. Tu mężczyzna siedzący w karecie wołać zaczął: „schwytać go! schwytać żywcem! konia skłuć pod nim!” Równałem się właśnie z drzwiczkami powozu, a nie pytając kto w nim siedzi, strzeliłem z pistoletu w okno kareciane. Dowiedziałem się później, mój bracie, że hetman polny Branicki był w karecie, i że kula moja siedzącemu obok niego generał-adjutantowi Czerniewiczowi zerwała perukę z głowy. Rozległ się okrzyk: zabił pana hetmana!! Rzucono się do powozu, otworzono drzwiczki, a hetman i generał-adjutant rozperuczony, wysiedli na ulicę; jam zaś zwijał się jak szaleniec pomiędzy ich orszakiem, rąbiąc i płazując każdego co się nawinał. Wtém na rysztołu pośliznął mi się koń, i wtenczas podkłuto mi go spisą, ale nieszkodliwie. Co było gorszego, to to, iż mię poznano po głosie, którego nie szczędził kierując szablicą, i zaczęto wołać: to ten opętany krzykacz Zakrzewski!

Już nareszcie zaczęło mi przychodzić upamiętanie i rozwaga, żem zanadto przekroczył. Towarzyszowi pancernemu strzelić do karety hetmana, to pachło kulą albo mieczem. Umyśliłem więc zmykać ku Wiśle i wplaw ratować się na tamtą stronę. Dopadłszy zatem Bednarskiej ulicy, puściłem się na dół; lecz ta hałastrą z orszaku hetmańskiego ruszyła za mną w pogoń, wrzeszcząc: „ucieka! ucieka! łapaj!

łapaj!” Ha! pomyślałem sobie, te trutnie rozumieją, że ja się ich boję. Wstrzymałem więc konia, zwróciłem, i Mospanie, jak natrę na nich dobywszy głosu, tak ta cała hołota w nogi; ja za nimi, i znowu wpadłem na Krakowskie - Przedmieście. Nabroiwszy tyle, pora już była ratować się ucieczką. Mając przeciętą drogę od Wisły, wpadłem na Saski dziedziniec, ścinając w biegu pozapalane latarnie, aby pod oponczą nocy łatwiej się schronić. Nie wiem jak tam jest teraz; ale za owych czasów, troje sztachet i trzy bramy kraciaste oddzielały ten plac od Krakowskiego - Przedmieścia, Wierzbowej ulicy i Końskiego targu, a przy każdej stał szyldwach z saskiego wojska. Dla omylenia pogoni, puściłem się ku Końskiemu targowi, lecz szyldwach ostrzeżony krzykiem: „*mach cu! mach cu!*” chciał przymknąć wyjazd. Tylko co go miałem poczęstować po łbie, schronił się do swojej budy, a ja w nią zapakowawszy szablę do połowy, gdy się mocuję, dobywając ją z drzewa, Sas bestya korzystał z czasu, i podkłuł mi dwa razy konia bagnetem: to szczęście że tylko w uda. Przecież udało mi się, chociaż zwichniętą w głównej, wyrwać uwięzłą szablę i wypaść na Koński targ, a że się zciemniło, a ulica była i niebrukowana, i nieoświetlona, zostawiwszy zdaleka za sobą pogoń, dopadłem nareszcie stancyi Zborowskiego. Czekał on mnie niespokojny że nie wracam; zobaczywszy zjuszzonego konia, przeląkł



się. „Ratuj przyjacielu! źle ze mną! źle ze mną!” Opowiedziałem mu naprędce co się stało. Nie było czasu do stracenia. On konia swego, opatrzywszy mu rany w mgnieniu oka, odesłał natychmiast z wiernym pacholikiem na dalekie przedmieście, mnie zaś ukrył w stosie drzew pod szopą.

Smutnążto ja noc przepędziłem w owiej drwalni. Jak zając co się wyrwał z obrotów i dopadł nory, zwinąłem się w kłębek i otulony oponczą, usiłowałem zasnąć; niepodobna było i oka zmrużyć, pomimo znoju i utrudzenia, bo i niewygodne legowisko i strach spędzał sen z powiek. Już mi téż i głód, a bardziej pragnienie po wczorajszej piatyce zaczęły trapić; ale nadewszystko sumienie i rozsądek szeptały mi: a niegodziło się panie Szymonie być do tyła szalonym i dopuścić się takich występków. Nade dniem, gdy z unuzenia zacząłem drzeć, przyszedł kryjomo do mnie Zborowski, przyniósł mi kawał pieczeni, bułkę i dzban piwa, i rzekł mi pocichu, iż z obawy, aby go nie śledzono, nie będzie mógł widzieć się ze mną przez dni kilka, ale że nasza pocziwa gospodyni i jej córka, które mię bardzo lubiły, i przysiędz można było, że nas nie zdradzą, wiedzą o mojej kryjówce, i że one przyrzekły pamiętać o mnie i o moich potrzebach. Jakoż, niech im Bóg da niebo, litościwe kobieciska nie opuściły mię w nieszczęściu: wybierały one takie momenta, że nie mogły ściągnąć na siebie niczyjéj

baczności, i przynosiły mi pożywienie, bieliznę, dały nawet kobierczyk i poduszkę; a kiedy jedna szła do drwalni, to druga na czatach stała. Po kilku dniach pojawił się i Zborowski, i powiedział mi, że jeszcze muszę czas niejaki posiedzieć w mojej kryjówce, bo marszałkowska warta szuka mię wszędzie po mieście, a od hetmana wyszły ordynanse, aby mię ścigać, ponad Wisłą zaś postawiono strażę dla schwywania mnie, gdybym się chciał przeprawiać; ale że czas uśpi tę czynność, a brat mój Karol czyni zabiegi u Lubomirskich i Potockich, aby mię chcieli ratować; że pan wojewoda kijowski radby, ale nie śmie otwarcie pomagać mi dla nieporóżnienia się z hetmanem polnym, wszelako przez umówione osoby ułatwi mi ucieczkę z Warszawy. Oj! mój dobrodzieju! więcej dwóch tygodni przesiedziałem pomiędzy temi drwami: jużem i boki odleżał i zanudziłem się przekłecie. Nieraz brała mię chętka puścić się na los i wyleźć z mego ukrycia, ale strach przemagał tęsknicę, bo głowa lekko siedziała na karku. Czyby się człowiek dostał w pazury wojskowe, gotowy wyrok: kula w łeb; czyliby wpadł w szpony marszałka W. koronnego, wiadomy sąd: idź pod miecz, gdyż z surowym Bielińskim nie było żartu: nie lubił on pobłażać fałdując sprawiedliwość z miłosierdziem. Jednego wieczora przyszedł do mnie Zborowski i przestrzegł mnie, abym był gotów do podróży, bo podczaszyna Pęska, nasza da-

leka krewna, wywiezie mię z Warszawy niby za służącą. Jakoż o północy wyciągnięto mię cichutko z mojej drwalni i zaprowadzono do podczaszyny: tam jak niepyszny, musiałem ogolić moje wąsy, włożyli na mnie spódnicę i kabat, czépiec na głowę i jupkę na plecy; a że byłem młody, jasno-włosy, biały i rumiany, wzrostu zaś średniego, mogłem więc od biedy ująć za kobietę. Ledwo szarzyć zaczęło, siedliśmy z panią podczaszyną i starą jej respektową panną do karety i wyruszyliśmy w drogę. Serce mi już młotem biło w piersiach, gdyśmy się zbliżali do rogatek; ale że u nas w Polsce policya nie bardzo była ciekawa, i nie pytano o paszporta, oficer zatém od warty zajrząwszy do karety, i rozmówiwszy się w kilku słowach z panią podczaszyną, kazał podnieść rogatekę i wyjechaliśmy z Warszawy. Pod Karczewiem przeprawiliśmy się szczęśliwie przez Wisłę, nie wysiadając na promie z karety. Pani Pęska, niech jej Bóg świeci, odwiozła mię aż do Kocka. Tam przywdziałem już męskie suknie, a nająwszy furmana Mazura, pożegnałem się z nią tak czule jak z drugą matką. Podczaszyna wręczyła mi list wojewody kijowskiego do pani Kossakowskiej, kasztelanowej Kamińskiej, blizkiej jego krewniej, bo była z domu Potocka: polecał on mnie jej opiece i orędownictwu. Przybywszy bez żadnej przygody do Lwowa pod nazwiskiem Zabłockiego, bo mi się tak przezwac ka-



zano, stawilem się u pani kasztelanowej. Po przeczytaniu listu, wezwała mię do gabinetu, a rozmówiwszy się, kazała mieszkać w swojej kamienicy, a nie włóczyć się po mieście. Była to kobieta wielkiego rozumu i znaczenia, ze wspaniałości umysłu i męskiej odwagi godna piastować laski i buławy; poważali ją monarchowie, szanowali wszyscy, lecz razem i bali się jęj, bo dowcipna i weredyczka, umiała ostro przycięć, kiedy się kto jęj naraził, albo nieprawą chodził drogą. Na wołowej skórze nie spisałbyś, mój bracie, wszystkich jęj trafnych lub uszczypliwych odpowiedzi, żarcików i przy mówek, które długo powtarzane, krążyły po kraju cenione jak holenderskie efimki: a tych notabene poszukiwano chciwie pomiędzy sfałszowaną pod ówczas przez Prusaka monetą. U nięj tedy jego mość pan Zabłocki przesiedział miesiąc cały, a tymczasem nadeszły wieści z Warszawy, że Szymon Zakrzewski, wyrokiem sądu wojennego, zaocznie, jako niestawiający się, skazany został na śmierć, i polecono szukać go i pojmać dla spełnienia kary. Pani kasztelanowa Kamięńska osądziła, że pobyt we Lwowie nie był dla mnie bezpiecznym, równie jak w Krystynopolu, bo mię tam znano i mógłby mię kto wydać. Otóż tedy opatrzywszy hojnie na drogę, dała mi furmankę aż do Równego, z listem do księżny Honoraty Lubomirskiej podstoliny koronnej, której mąż znajdował się pod ówczas w War-

szawie. Od tej pani łaskawego doznałem przyjęcia, jako polecony najmocniej jej opiece, a oprócz tego zauważyłem to mój bracie, że kobiety awanturników i hultaj, byle odważnych i zuchów, niezmiernie lubią. Lecz że i w Równem mniemany pan Zabłocki, nad którym wyrok śmierci wisiał, nie mógł się bezpiecznie przewietrzać po ulicy; posłała więc księżna za gwardyanem bernardyńskim do Kustyna. Po naradzie z nim sekretnej, uchwalono, żeby mię zabrał z sobą i na kępie znajdującej się w pośrodku stawu, zarosłej trzcina i łożą, osadził. Tamto ja całe trzy miesiące przesiedziałem... Prócz księżnej, gwardyana i jednego braciszka, nikt o mnie nie wiedział; ten ostatni dowoził mi czółnem czego mi tylko było potrzeba. A tymczasem księżę Lubomirski, uproszony od brata mego Karola, wszelkich dołożył starań do ubłagania hetmana. Jakoż udało mu się nakoniec zyskać cofnięcie wyroku wojkowego i wyrobić dla mnie list żelazny. Wylazłem na świat jako lis przepłoszony z pomiędzy kępin; a wdzięczny Lubomirskim za ich orędownictwo, już nie chciałem wrócić do krystonopolskiego dworu, i w Równem osiadłem. Ojcom też Bernardynom kustyńskim, za dany w złym razie przytułek, wypłacam się po dziś dzień jałmużną wedle przemożności mojej. Ale mój bracie, sam osądź, co mię czekało, gdyby hetman Branicki nie dał się być zmiękczyć i trwał przy raz zapadłym dekreście;

trzebaby było zostać banitem i z kraju się wynosić, bo trudno całe życie przesiedzieć jak diabeł w trzcinie, lub niedźwiedz w ostępie. A gdzież się udać było wyjętemu z pod prawa nieukowi? Chyba otwartą dla łotrów drogą zemknąć do siczy i zostać hajdamaką. Dlatego też wstając i legając, wspominam Klemensa Branickiego w modlitwie mojej.

Tu pan Starosta umilkł i zadumał się, ja także rozmyślać począłem o owój dziwnej jego przygodzie: nakoniec odezwał się:

— Mój walny chłopcze! już trochę zapóźno, muszę jeszcze pacierze zmówić. Dobrej nocy ci życzę.

— Dobranoc panu Staroście! — Odszedłem zostawując do dnia następnego dalsze wybadywanie staruszka.



## II.

Na zamku kasztelana  
Brzmi muzyka dobrana.  
Halas gluszy kapele;  
Kielich krąży wokoło,  
Wszyscy bawią wesoło,

*Odyniec. Gody, ballada.*

Nazajutrz wieczorem, gdy pan Starosta zasiadł jak zwykle w pokoju swoim u stolika stojącego pod oknem i nakrytego makatą, zbliżyłem się do niego; wskazał mi krzesło obok siebie, i rzekł:

— Pogawędźmy trochę.

Odpowiedziałem:— Najchętniej. Długo też pan Starosta został przy dworze książąt Lubomirskich?

— Ho! mój Dobrodzieju, lat kilkanaście, ale nie jak dworzanin, lecz jako przyjaciel domu. Hu-  
cznie i wesoło bawiono się w Równem. Domowni-  
ków gromada, gości codziennie prawie jak nabił;  
uczty, muzyka, tańce, stoły otwarte, rześiste kielichy spełniane przy odgłosie moździerzy i ręcznej  
broni, cyfry gorejące i ognie sztuczne. Księżna

jejność, Pocijówna z domu, bogate wiano przyniosła mężowi. Byłato pani wielce hoża, piękna i arcy wesoła. Pamiętam bywało, gdy czasem rzuciwszy na stronę francuzkie robrony i pompadury, jak wystąpi w staropolskim niewieścim stroju, przybrana w aksamitny kontusik, w staniczek ze złotój lamy i soboli kołpaczek, przy którym dyamentowe migocze piórko, i w różowych jak zorze bucikach, naszywanych perłami, a koreczki skute złotem; kiedy jak łania puści się w pierwszej parze polskiego lub mazura, po ogromnej pałacowej sali, to się natrzeć na nią nie mogłem; a jak zwyczajem na zawrocie w tańcu skrzesze podkówczkami, ho mój dobrodzieju! człowiek ledwie ze skóry nie wyskoczy, tak mu serce rośnie. Powiadali niektórzy, że była trochę zalotna, alem się o tém nie przekonał, a pamięci dobroczyńców moich szkalować nie zwykłem. Co do samego księcia podstolego koronnego, ten lubił przykładem zachęcać do spełnienia rzeszystych kielichów; ale któż wówczas nie pił w naszej Polsce? Był on zapalony myśliwy, i często ogromne łowy dla gości swoich wyprawiał. W Tulczynie zwykle niezmierną chował psiarnią, przeznaczwszy całe dochody z tego klucza na jej utrzymanie. Rozległe bory i puszcze, pełne były grubego zwierzka, na którego z sieciami, parkanami i nieprzeliczoną liczbą chłopstwa polowaliśmy obławą. Nabiwszy co niemiara sarn, wilków, dzików, a często kilka łosi,

czasem też i niedźwiedzia, zasiadano do myśliwskiego obiadu. Ileto bywało opowiadań o przygodach łowieckich, ile łgarstw, ile samochwalstwa! Rogi i waltornie brzmiały tymczasem na tryumf, a my trąbiliśmy w kielichy, i nie pomnę, abyśmy kiedy po trzeźwemu wrócili do domu.

Raz ksiązę żalił się, że pod Równem nie ma żadnego lasku, w którymby mógł czasem dorywezo choć na zajęcia zapolować... Cóż powiesz?... Sąsiedzi i przyjaciele zmówili się, aby mu w dzień imienin zrobić niespodziankę. Właśnie ksiązę wyjechał był na dni kilka do Dubna do księcia Ordynata Sanguszki, i nie miał wrócić aż na święty Stanisław. Owóz tedy na dobę przed tym dniem, zagnano tysiące podwód z młodemi drzewkami, spędzono tyleż robotników z okolic bliższych i dalszych, i zasadzono jak najstaranniej zwierzyniec dość obszerny, poprzerzynany porządnie ulicami w linie, i napuszczono weń mnóstwo różnej zwierzyny. Co za podziwienie i radość była księcia, który w nocy przyjechał, gdy budząc się, z okien swoich spostrzegł nad miastem górę zieleniejącą się lasem. Ta niespodzianka, pielęgnowana następnie, przetrwała dotychczas: jestto ów gaj rowieński, który widzisz z mojego domu. Nie polowano wprawdzie dnia tego, bo to była uroczystość patrona Polskiej Korony; ale wszyscy, wiele nas było gości i domowników, za przewodem księstwa, ruszyliśmy ku owemu lasowi, co jakby



przez czary z ziemi wyrósł. Pocieszać to była rzecz widzieć gromady zajęcy i sarn spłoszonych przybyciem tylu powozów i wrzawą tylu jeźdnych, przebiegające tu i owdzie; ale nigdzie wymknąć się nie mogły, bo zewsząd knieja obstawiona była sieciami. Nazajutrz dopiero wieczorem polowano przy pochodniach i kagańcach. W dniu zaś imienin potężna była pijatyka; pamiętam, po obiedzie, pokazywano konie ze stajen książęcych na dziedzińcu zamkowym; wszystkie damy dla przypatrzenia się wyszły z księżną Honoratą na ogromną galeryą pałacową, co się na piętrze wzdłuż sali rozciąga. Ja kazałem sobie podać mego siwo-jabłkowego i zacząłem srodze na nim dokazywać przy oklasku, a czasem i przestachu dam; książę stojąc na galeryi z pełnym kielichem, zawołał do mnie z góry: — Panie Szymonie, piję za wasze zdrowie i w waspana ręce, ale potrzeba, żebyś nie zsiadając z konia, kielich odemnie odebrał. Nie dałem sobie dwa razy mówić: wypuściłem siwosza, przebyłem w skok kilka stopni prowadzących do przysionka, wpadłem do sieni, i po wschodach dostałem się na piętro, na wielką salę i wjechałem na galeryą przy nie małej trwodze kobiet. Książę podał mi potężny kielich, który za jego zdrowie spełniwszy duszkiem, zwróciłem konia i taż samą drogą, chociaż nieco już ostrożniej, powróciłem na dziedzińiec zamkowy. Tak to mój dobrodzieju dokazywano przed laty

w tém Równem, które dziś tak trzeźwe. A w Dubnież to dopiero, na zamku księcia Ordynata, marszałka nadwornego litewskiego, co za rzeki wina płynęły! Ho! bo téż kręto-wąsego Sanguszkę nie łatwo przepić można było; lał jak w beczkę i lubił żeby się ochocono. Na sali zamkowej parowały lby biesiadników od węgrzyna, a na dziedzińcu kłębił się dym od wystrzałów dragonii, warczących za każdym wiwatem.

Często jeździliśmy w goście do Ordynata, bo książę podstoli koronny miał widoki zjednania go sobie. Jam zaś rad zawsze oglądał braci moich, Eustachego i Karola, z których pierwszy był komisarzem dóbr, a drugi marszałkiem dworu dubieńskiego. Wyznać jednak muszę, ze szkodą braci moich, że w dobrach był nieład, a rwetes we dworze. Działo się to bardziej panem niż sługami. Jak nasza Polska nierządem, tak fortuna Ordynata stała do czasu ogromem.

— Zapewne, — rzekłem — pan Starosta wspomniał tu o tranzakcyach kolbuszowskich.

— Tak jest, mój bracie! Nastąpiły one w kilka lat później i narobiły dużo hałasu w Koronie; bo wielu, ci mianowicie, którzy z tych nadań nie skorzystali, utrzymywali głośno, że książę Sanguszeko nieprawnie posiadał, a nieprawniej jeszcze rozszafował ogromne włości ordynacyi ostrogińskiej, które po wygaśnieniu miecza książąt od Ostroga

Zasławskich, na zakon Maltański spadać byłyby powinny. Ale ja nie prawnik, nie potępiam tego, co następnie sejmy utwierdziły, a tylko widzi mi się, że jeśli mieli posiadać majątek jacyś kawalerowie Jerozolimscy, co to gdzieś na morzu wojować z bisurmanami powinni, z któremi rzeczpospolita wieczny sojusz przez Karłowicki pokój zawarła; to daleko lepiej sejm zrobił, iż przyznał kolbuszowskie nadania, przez które domy książąt Lubomirskich najwięcej zyskały. I słusznie, aby owe majątności ostrogskie, które już raz po kądzieli były w rękę Lubomirskich, a później równie po kądzieli dostały się Sanguszkom, wróciły nazad do dawniejszych posiadaczy swoich, niż miały wzbogacać przybyszów i obcych. Przyczem wiele innych domów pańskich, a i braci szlachty nie mało pożywiło się i zapomogło; rzeczpospolita zyskała regiment imienia Ostrogskich, mój zaś książę Stanisław, klucze: dubieński, warkowicki i inne.

Ale cóżbo to za rozległe włości ten książę Ordynat rozdał w życiu swoim. Prócz kolbuszowskich nadań, przez które do sześciuset wiosek z miastami rozposażył, dawniej jeszcze, małoletnim braciom swoim, będąc sam bezdzietny, ogromne dobra, jakoto: księstwo zasławskie, hrabstwo tarnowskie, i inne odziedziczone po matce swojej, darował. Bo trzeba ci wiedzieć mój dobrodzieju, że na nim kończył się już ród Sanguszków; ożeniony



z Denhoffówną, wojewodzianką pomorską, nie żył z nią, a jak różnie powiadano, nie mogło być nadziei potomstwa, bo kto ziarno rzuca na grunt niewłaściwy, ten plonu mieć nie będzie. Owóż tedy owdowiały już oddawna ojciec Ordynata książe Paweł Sanguszko, marszałek wielki litewski, widząc bliską plemienia swego zaturę, umyślił sam, chociaż sześćdziesięcio-kilkoletni, wskrzesić w nowym szczepie usychające drzewo, i postanowił ożenić się. Miał on przy sobie nadwornego doktora nazwiskiem Chirnesa: głośny to był w swoim czasie lekarz; tego zatem wysłał z pełnomocnictwem szukania mu po całym kraju żony, którą chciał mieć młodą, piękną i płodną. Puścił się więc na wędrowkę Chirnes, jak ów sługa Abrahamów, o którym w dzieciństwie matka mi rozpowiadała, że szedł z rozkazu pana swego do Mezopotamii, za wynalezieniem małżonki dla syna patryarchy. Jakoż trudy jego nie były płonne, bo upatrzył i wybrał dla księcia prawodawcy swego dziewicę piętnastoletnią, nadobną, rozumną, cnotliwą, z zacnego hrabiów Duninów rodu, i chociaż sierotę, jednak dość posażną, o czém w warunkach cale nie wzmiankowano. Była to później tak powszechnie poważana w kraju księżna Barbara; z tą tedy zawarłszy dozgonne śluby, letni Sanguszko odmłodził stare drzewo nowemi latoroślami, których nie skąpo wydała mu hoża małżonka, bo co rok to był prorok, a czasem i bliźnięta,

tak dalece, że kiedy po jedenasto-letniem pożyciu, przeniósł się książę Paweł do wieczności (nie licząc dzieci w powieści lub w drobnym wieku zmarłych), zostawił jako następców po sobie: trzech synów i trzy córki. Dla tychto więc, o kilkadziesiąt lat młodszych od siebie braciszków, książę Ordynat, za życia jeszcze ojcowskiego, zamożną majątność przekazał, spuścizną niegdyś książąt Zasławskich bogacąc ród Sanguszków.

— Jak widzę, — rzekłem — hojność ta księcia Ordynata nie wszystkim poszła na korzyść. Dzisiejsi naprzykład Lubomirscy, chociaż dość możni, szczątki tylko posiadają dziadowskich włości. Słyszałam nieraz, że majątek księcia podstolego koronnego, nie mógł podolać jego marnotrawstwu.

— Ho! mój bracie! marnotrawstwo marnotrawstwu nierówne. Zaiste, życie pańskie, jakkolwiek zbytkowne, okazałe i szumne, nie zniszczyłoby nigdy fortuny księcia Stanisława; bo chociaż rozgardzasz gościł w tym domu, lecz też i dostatki zbyt wielkie były i wystarczały na wszystko. Ale prawdziwem narzędziem do podkopania jego majątku było to, iż on później szwankował na umyśle, jak się owo najjawniej dało widzieć na sejmie elekcyjnym, kiedy mu korona zaświtała w głowie. A że do tego lubił potężnie grywać w karty, więc oszusty, szulery i facyendarze oblegli go, świecąc mu baki, a starając się korzystać z jego słabości: jedni go

ogrywali na krocie, drudzy wyludzali u niego za bezcen dobra, tak, że synowie o wzięcie go w kuratelę kroki czynić musieli. Ale i tu przewrotność i chciwość popleczników znalazły. Bo wówczas, kiedy młodzi Lubomirscy dowodząc ojcu pomieszania zmysłów, starali się zwalić niedorzeczne przedaże włości przez niego zdziałane, chytry, kanclerz Młodziejowski, chociaż to, żał się Boże, i duchowny, i biskup poznański, mając w tém swoje widoki, bo współnictwo z nabywcami, potrafił zyskać to u króla Poniatowskiego, że obłąkanego księcia, który już był wojewodą braclawskim, na wyższe w senacie krzesło posunął, dając mu województwo kijowskie na miejsce zmarłego Potockiego; a tym sposobem król przyznawał mu i rozum i rozsądek. Nie było środka: musieli synowie zostawić mataczy i kosterów przy wyludzonych włościach, a wówczas dopiero dozwolono im wziąć w opiekę ojca. Ale to wszystko działo się o kilkanaście lat później, jak powiadam, już za rządów króla Stanisława. Za Sasów zaś, jeszcze się kryli w cieniu owi wyrodkowie, co to potem tak bezczelnie i prywatnemi majątkami i rzeczpospolitą frymarczyli. Wróćmy się zatem do dawniejszych czasów, w których mniej pożyczanej od obcych oświaty, a więcej wstydu między ludźmi było. Ot! hulaliśmy sobie i kwita, bo się nam dobrze działo, wedle owego przysłowia: „*Za króla Sobka, nie było w polu snopka; a za króla*



*Sasa, człowiek jadł, pił i popuszczał pasa.* O! już co pili, to pili: nie było próżniaków w Winnicy Pańskiej, bo prócz młodzików, którym nie wolno było sięgać do szklenicy, reszta wszyscy panowie i szlachta, duchowni i świeccy, sędziowie i palestra, wojskowi i urzędnicy, pili na wyścigi, a kto odmawiał kielicha, tego i przymusić umiano.

— Z tego com usłyszał od pana Starosty o owych czasach, wnioskować można, że była w kraju swoboda, dostatek i bezpieczeństwo. Jakoż panowanie Augusta III słynie z długiego pokoju.

— Ho! mój bracie, swobody dla swój woli było aż nadto, panom na dostatkach nie brakło, a ubożsi mieli okruszyny pańskie. Wojny żadnej z ościennemi nie prowadziliśmy, ale co się tyczy bezpieczeństwa, tém, szczególnieź na pograniczu od Zaporoża, trudno się było pochłubić; a nawet i na Wołyniu, kilkakroć pomieszały nam błogie na dworach wczasy i krotofile, przesadzone wieści o napadach hajdamackich. Zdarzyło mi się parę razy być uczestnikiem wyprawy na tych hultai.

— Niech mi pan raczy opowiedzieć jak to było.

— Kiedy chcesz mój dobrodzieju, to posłuchaj. Ale wprzód żebyś miał wyobrażenie co to był hajdamaka, wyjdź na chwilę do sieni i przypatrz się konterfektowi Mamaja, który tam wisi na ścianie.

Poszedłem zatem oglądać ów obraz: było to płótno kilka-łokciowe, z którego farby w wielu miej-

scach poodpadały. Pod dębem stał uwiązany koń, oparta krótka spisa i pozawieszane bronie kozackie, jakoto: janczarka, szable i rożek prochowy; sam zaś brudny bohater w obszarpanym i roztwartym na piersiach kożuszku, z łbem wygolonym, z którego spływał za ucho bujny oseledec, z potężnemi kruczemi włosami, z twarzą ogorzałą, z miną dziką i urągliwą, siedział pod drzewem niedbale, przekrzyżowawszy nogi z turecka, i zajęty był około siebie tym rodzajem ochędóstwa, które chłopci nasi poruczają zwykle paluszkom gospodyń swoich, gdy w ciepłe dni świąteczne leżąc u progu chaty, składają drzemiące głowy na ich kolanach. Na boku obrazu wypisane były jakieś długie gburowate wiersze, pełne przechwałek i szyderstwa z Lachów i żydów, godny plód zaporozskiej muzy.

— Jakieżto jest podanie o tym Mamaju? — zapytałem pana Starosty, wróciwszy do pokoju.

— Nie potrafię ci dokładnie powiedzieć, mój do-brodzieju; słyszałem tylko, że przed laty miał to być jakiś sławny rozbójnik zaporozski, którego pod Czehrynem pojmawszy, powieszono. Malowanie to darował mi na pamiątkę brat brygadyera, Dzierżek tryus, tak przezwany dla dużej brodawki koło warg, z której wyrastający spory pęk włosów, tworzył mu jakoby trzeci wąs. A teraz, kiedyś już widział jak wyglądał hajdamaka, przystąpmy do rzeczy. Tandem tedy, szajki tych opryszków, z kilkudziesię-

sięciu, a czasem i z kilkuset łotrów złożone, wypadały ledwo nie co wiosny z Siczy zaporozskiej, wracając jesienią do swoich legowisk. Był to stek ludzi z samych zbrodniarzy zebrany; rekrutowali się oni z różnych zbiegów krajów okolicznych, ale najwięcej z ukraińskiego chłopstwa, pomiędzy którym miewali wielu zwolenników swoich, co im dawali przewodnią i nauczali którądy iść i gdzie napewno szukać zdobyczy. Rabowali i palili dwory, cerkwie i miasteczka; pograniczne województwa kijowskie i braclawskie, najwięcej cierpiały od tych hultai, ale niekiedy zapędzali się oni na Podole i Wołyń, a nawet aż ku Mozyrowi, bo wojska pogranicznego było bardzo mało: magnaci nadworne przy sobie skupiali, a horodowych kozaków mieli za swoich. Ci hajdamacy, najazdy swoje czasem pieszo, ale najczęściej konno odbywali, wprowadzając zdobycz na objuczonych szkapach, i to się u nich zwało *batownią*. Na czele każdej szajki bywał dowódca, którego oni watażką zwali; wybierali go zwykle pomiędzy najdoświadczeńszymi, co to już po kilka wypraw zbójeckich odbyli, i znali wszystkie przesmyki i ścieżki. Dla wzbudzenia zaś ufności między swymi a postrachu pomiędzy pospólstwem i przesadnym narodem, głosili o nim, że jest charakternik, to jest czarownik, że kule zaklinać umie, i że go insza jak srebrna nie weźmie, a w razie, to się i niewidomym stać potrafi. Co to oni za bogate



łupy uwozili z kraju, a czasem wiedzeni zemstą, ile to krwi niewinnej przelali. Przestрах téż, kiedy się wieść rozeszła, że hajdamacy idą, był do nieopisania: każdy z czém mógł i gdzie mógł chronił się. Ale najczęściej wiadomość o ich wtargnieniu przychodziła zapóźno, bo ich pochod jak wilczy, bywał bardzo skryty, a odpoczynki po futorach i pasieczyskach odludnych.

Owóz tedy gościliśmy raz z księciem podstolim w Połonnym, u jego stryja, księcia Antoniego Lubomirskiego starosty kazimierskiego; w czasie samego obiadu przyleciał goniec od generalnego regimentarza partyi ukraińskiej i podolskiej Jana Tarły wojewody lubelskiego z ordynansem, aby regiment hetmański cudzoziemskiego autoramentu, który był pod dowództwem tego księcia, spiesznym pochodem ciągnął do Jałuszkowa na Podole; prosił oraz osobnym listem starostę kazimierskiego, aby wysłał część własnej swojej załogi z twierdzy połonńskiej, i harmat dziesięć, a to dla pojmania stu kilkudziesięciu hajdamaków, którzy przeprowadzając się ze zdobyczą ku granicy, gdy im zastąpiono drogę, schronili się w lasy Jałuszowskie i tam zasiekli się. Odpisał książę starosta, że jutro sam z wojskiem wyrusza. Ta jego gotowość na wezwanie regimentarza pochodziła raz ztąd, iż Tarło był mu wujem, a powtóre, że zacny jakała Lubomirski, zawsze rad osobą swoją służył rzeczypospolitéj; dowiódł tego

marszałkując tak gorliwie na owym sejmie (1746), co zrazu tyle dobrego wróżył dla nas, na którym pod jego laską i przewodnictwem, tak zgodnie radzono o powiększeniu wojska, o skarbie i wielu innych zbawiennych dla kraju urządzeniach. Wprawdzie zasługa tylko pocziwych chęci została przy Antonim Lubomirskim, gdy te mądre uchwały nieuzyskawszy mocy prawa, spełzły na niczem. Bo źle życzliwi dobru powszechnemu, widząc, że sześćciodniowy czas zamierzony dla sejmów, dogorywa bez zerwania, w dniu już ostatecznym, kiedy szło tylko o podpisanie gotowego dzieła, przewlekali z umysłu jałowemi wnioskami posiedzenie izby aż do nocy; a za przyniesieniem świateł gasili one po kilkakrotnie, wrzeszcząc, że sejmować przy świecach jest niesłychanem bezprawiem. Widząc marszałek co się święci, musiał rozpuścić sejmujących, płacząc nad niedolą ojczyzny, a rzewny głos swój pożegnany zakończył, rzekłszy z żalu i oburzenia: *Kto z nas jest przyczyną złego, niech go wszyscy diabli porwą!* Zjazd ów nieszczęsny przezwano później *Sejmem świeczkowym*. Ale znowu zboczyłem od rzeczy: przebacz starcowi, że mu się myśli od natłoku wspomnień błakają.

Tandem prosiłem księcia starostę kazimierskiego, aby mi pozwolił pójść z sobą na ochotnika. Mile to przyjął. Jakoż nazajutrz, ledwie dzień zaczęło, uderzono generał-marsz, i ruszyliśmy w po-

chód; był też z nami i syn starosty, młody Marcin książę Lubomirski, może lat siedemnastu chłopak, a już oberszt-lejtnant w regimencie ojcowskim. Ciekawe i roztropne było to pacholę i do wojskowości wielką miał ochotę; zdawało się, że wyjdzie z czasem na sławnego męża, bo się i uczył dobrze i śmiały był a zręczny; ale później to zacne drzewko wybujawszy, cierpki wydało owoc, bo rozpusta i marnotrawstwo górę wzięły. Strwoniwszy więc fortunę, i nabroiwszy siła w kraju, gdzieś tam na starość za granicami, w Holandyi podobno, w więzieniu za długi życie zakończył. Owoż dnia trzeciego około południa, stanęliśmy o ćwierć mili od owego lasu, w którym hajdamaków obsaczono; dla pośpiechu, piechotę i puszkarzy wieziono na podwodach. Uszykowało się tam nasze wojsko, mając harmaty na skrzydłach i w pośrodku. Przybył JW. regimentarz i zrobił przegląd, poczem złamano szeregi i zalecono, aby żołnierze posilili się i przespali, bo całą noc czuwać będą.

Odпочąwszy nieco, prosiłem księcia starostę kazimierskiego o pozwolenie objechania i opatrzenia stanowisk; dodał mi dla bezpieczeństwa jednego oficera i kilku swoich rajtarów, z którymi puściłem się wokoło owego lasu, co mi kilka godzin zabrało, chociaż sporo stępo, a niekiedy i kłusem wyciągałem konia. Las był obszerny; naokoło, pod samą knieją, rozstawiono gęsto chłopów, których ze trzy



tysiące spędzono; byli niektórzy uzbrojeni w rusznice, ale największa część w spisy, w kosy lub cepy; przykazano im było wartować pilnie, a w nocy ognie palić i często *werda!* krzyczyć. Za chłopstwem, o półtorasta kroków w tyle stało wojsko, i to co z Połonnego i owe co z JW. regimentarzem dawniej przyciągnęło; a było go ze dwa tysiące ludzi, tak komputowych husarzy i pancernych w zbrojach, lampartach i wilkach, jako też i piechoty, a prócz tego kozaków horodowych co nie miara. Wszystko to rozstawione było przez jakiegoś Niemca pułkownika, który był adjutantem przy regimentarzu, a dawniej służył za wachmistrza u Sasów. Ja ujrzawszy poważne znaki pancerne, do nich się przyłączyłem, raz jako dawny towarzysz, a drugie, że mi te kommandy niemieckie w polskim wojsku cudzoziemskiego autoramentu, niezmiernie uszy raziły, tak jak gdybyśmy nie mieli własnego języka. Po co wołać: *halt! raus! werda! fajer!* kiedy równie dobrze nasze: *stój! wychodź! kto idzie! ognia!* a też *handgryfy, kuczgiwery, liderwerki, forsztelunki*, i tym podobne szoldrowskie wymysły, od których nasze poczciwe Maćki aż w głowę zachodzą. Aleć się zawsze prawdziło to przysłowie: że co Niemiec wymyśli, to Polak kupi. Koniec końców, zostałem na tę noc przy pancernych.

Dowodził tam chorągwią księcia podstolego litewskiego namiestnik, niejaki Tomasz Cz....ński,

którego panem cześnikiem nurskim tytułowano; z tym dorazu zaznajomiliśmy się jako oba Lubomirszczyki, a że był człowiek otwarty i przyjacielski, łatwo więc do niego przylgnąłem. Ponieważ zaś czujność i cichość były nakazane, siedząc zatem obok siebie na rozesłanej burce, przeszeptaliśmy noc całą; niekiedy tylko, ale skromnie, z podróznego puzdra orzeźwiając bezsenność, i krzepiąc się przeciw wilgotnej rosie. Nie zabrakło też nam i na osnowie do gawędy. Gdy mu okazałem podziwienie, że tak wiele wojska ściągniono na poskromienie stu kilkudziesięciu hultai, odpowiedział: że dla imania hajdamaków nigdy nadto rąk mieć nie można, bo te łotry bronią się zajadle i do ostatniego, wiedząc, iż dla nich nie ma przebaczenia. Bo cóż ich czeka: śmierć psia na gałęzi lub sterczenie boleśne na palu; rzucają się więc jak wściekli jeden na dziesięciu, i częstokroć przebijają się nie tylko sami, ale i zdobycz uprowadzają. Zobaczysz ich jutro jak bogato poubierani: u nas się to tak suto poprzystrajali, bo z Siczy wychodzą tylko odziani w założone koszule i katanki z cielaków. Dowiedziałem się od pana cześnika, że ów watażka, którego oblegaliśmy, był sławny między hajdamakami Iwan Czupryna, Zaporozec, który piętnasty już raz wpadał do Polski i powracał bezkarnie, spotykając się szczęśliwie zawsze z wysyłanemi przeciwko niemu oddziałami wojska, i uprowadzając bogatą zdo-

bycz. Że przed laty trzema, wpadłszy ze sześćdziesięciu młodcami do Szarogrodu, ojca pana cześnika zamordował, dom złupił, a pieniędzy na 40,000 złotych w gotówce zachwyił; a gdy się zapędził aż na Wołyn i wracającemu z obładowaną batownią, tu w tém samym miejscu zastąpiło trzystu dragonii od regimentu królowej, ów Czupryna w nocy na nich uderzył, pułkownika ubił, kilkanaście koni uprowadził i przedarł się bez straty. Miał więc pan Tomasz do pomszczenia krew rodzica swego, przelaną przez owego watażkę. Zapytałem go, czy był rodem z Braclawskiego?— O! nie, odpowiedział, my jesteśmy z ziemi sanockiej, a ród wiedziemy z Węgier; mój ojciec miał tam wioskę dziedziczną, ale nieszczęściem zabił sąsiada swego na zajezdzie: musiał tedy uciekać, zabrawszy z sobą żonę, mnie i brata mego mało-letnich jeszcze. Mielśmy rodzzonego stryja rektorem Jezuitów w Winnicy, ten dał przytułek ojcu naszemu, a że Jezuici, jak wiadomo, wielkie mają stosunki i wpływy tak u dworu jak i u magnatów, stryj nasz więc potrafił ocalić brata i uzyskał dlań darowanie winy, ale wioska przepadła na sprawę i nawiązki. Nie miał już po co ojciec nasz wracać w Sanockie, tém bardziej, że i sąsiedzi niebardzo uprzejmém okiem spojierali na niego: pozostał więc w Braclawskim. Stryj rektor wyjednał dla niego od Lubomirskich posadę komisarza dóbr Pobereżskich; dobrze mu



się działo przez lat wiele, aż hajdamacy pozbawili go żywota.—Widać, mój dobrodzieju, rzekłem, że sądy ludzkie nie uczyniły zadość sprawiedliwości Boskiej, która dopuściła hajdamakom wziąć liczbę z rodzica twego.—Grzechem jest, odpowiedział pan Tomasz, szemrać przeciwko wyrokowi Najwyższego: niech się dzieje wola Jego święta; ale godzi się narzekać na błędy ludzkie. Do czegożto dziś doszedł nasz piękny kraj, mający tyle żywiołów potęgi?! Oto, ani uważania u obcych, ani wewnątrz bezpieczeństwa nie mamy, a wszystkiego przyczyną duma możno-władców naszych: nie chcąc oni ulegać królom swoim, starali się powagę tronu osłabić. Zatruli żywot bohatera wiedeńskiego; Augustowi II gorzki podali kielich do wypicia, może zasłużenie; lecz co gorsza, na sejmie owym, co go przewali niemym, ojczyźnie resztę sił odjęli, rozprzegając wojsko narodowe i zmniejszając je do kilkunastu tysięcy. Dzisiejszy nawet król możeby mniej był gnuśnym, gdyby mu rąk nie związane; sami wprawdzie liczne nadworne trzymają żołdactwo, lecz to dla własnej tylko chowają posługi. Nędzneż-to, Mospanie, życie naszych pogranicznych mieszkańców i ustawną przeplatane trwogą. Lat temu trzy, zamordowali mi hajdamacy ojca, w roku przeszłym złupili mi dom i o mało żony i dzieci nie wydarli. Ja trzymam od Zaboklickich przez zastawę wieś Sielnicę, ale z powinności woj-

skowej służby muszę przebywać przy chorągwi, bo bezemnie któżby nią dowodził: mój rotmistrz książę podstoli litewski mieszka w swoich dobrach lub w stolicy, mój porucznik Woronicz w województwie kijowskiem gospodarzy w swoich majątnościach, mój chorąży Bieliński, już podeszły starzec, osiadł na dewocyi we Lwowie u Bernardynów: wszystko więc zważyło się na głowę biednego namiestnika. Owóż tedy, jak mówiłem, hultaje napadli na mój domek w Sielnicy i zabrali wszystko co unieść mogli. Szczęściem, że żona przeczuwając ich odwiedziny (zwłaszcza, że jeden z parobków łotr i pijak uszedł był do hajdamaków), od kilku już tygodni nie nocowała pod własnym dachem, ale po jarkach, konopiach i łożach; a co noc w inszém miejscu szukała z dziatkami ukrycia, wracając na dzień do domu. Ta ostrożność ocaliła ją, bo rozbójnicy napadłszy, zastali tylko przy mamce moję najmłodszą córeczkę, i tę chcieli roztrzaskać o ścianę, ale mamka padła im do nóg, i przecież łzy jej i prosby rozbroiły zapamiętałców. Wkrótce potem szajka opryszków napadła na miasteczko Kraśne, gdzie mój siedmioletni synek był u dyrektora w parafialnej szkółce; studenci schronili się do zameczka, lecz ich nauczyciel wpadł w ręce hultai. Po zrabowaniu miasteczka, gdy wezwany do poddania się gubernator kluczowy, utworzyć im bram swego Gibraltaru nie chciał, umyślili podpalić ostrokół

dębowy, który najwarowniejszą stanowił obronę tej nędznej zamczyny; zaczęli przeto okładać palisady słomą, dla zwiezienia której, aby nie znużyć własnych koni, zaprzęgli do wozu owego bakalarza w parze z żydem szkolnikiem. Kilka już fur dostawili tym sposobem, srogimi furmankę ową okładając plagami; ale nie dał dokończyć rabusiom przedsięwziętego dzieła wystrzał z pistoletu od ich czaty, postawionej za miastem. Ostrzeżeni że nadchodzi dragonia, zwinęli szybko tłumoki i poniesli się pędem ku Kiezmaniowi (tak zowią duży las w okolicach Kraśnego); zastąpiła im wprawdzie na szlaku dragonia, ale ci potępiency uderzyli przebojem i otworzyli sobie drogę, ubiwszy z janczarek dwóch dragonów i jednego konia, a batownią ze zdobyczą uprowadzili. Z tej wyprawy najbardziej był uradowany mój mały Marcis, że przecież hajdamacy oddali w kilkoro biednemu Szyszle (tak się nazywał dyrektor) te ciągi, któremi zwykł był smażyć uczniów swoich.

Na tych i tym podobnych rozmowach strawiliśmy noc całą. Już téż i dzień zaczęło, gdy oto po drugiej stronie lasu, gdzie stała nasza piechota, dały się słyszeć wystrzały z samopałów, naprzód pojedyncze, a potem coraz gęściejsze, dalej i działa zagrzmiały. Huk, wrzawa, łoskot i trzask walących się drzew, rozlegały się szeroco po kniei i po rannej rosie. Myśmy już byli na koniach, chłopstwo



przestraszone zaczęło uciekać, pancerni ruszyli by ich zawracać. Wtém czterdziestu hajdamaków, mających za sobą ze dwudziestu koni jucznych, wypadło znienacka z lasu, i wraz uderzyło na trzy chorągwie wołoskie, stojące na przodzie. Nie dotrzymali kroku Wołochy, a nawet nie wystrzelili, pierzchnęli w nieładzie na komputowych, i ze zmykającą czernią takie zamieszanie w szeregach zrobili, że do szyku trafić nie mogliśmy. Z czego opryszkowie korzystając, dali raz ognia do naszych, i ubiwszy kilku szeregowych, zwrócili pędem ku wsi. Namiestnik i ja dojeżdżaliśmy ich zblizka, a nawet pan cześnik zwałił jednego łotra z pistoletu, ale obejrzawszy się, że tylko we dwóch ścigamy, wstrzymaliśmy konie. Hajdamacy tymczasem przeszedłszy wieś i zapaliwszy ją za sobą, do sąsiedniego dostali się lasu. Poszła wprawdzie za niemi pogoń, którą JW. regimentarz zajęty w innej stronie, ledwo w godzinę wyprawił, ale bezskutecznie; bo ci hul-taje na lekkich siedzący szkapach, nie dali się doścignąć i uszli do Siczy, wszędzie za sobą zostawiając pożogę.

Nie tak pomyślnie poszło hajdamakom tym, na których piechota nasza nastąpiła w lesie; bronili się wprawdzie zajadle ci rozbójnicy, ubili naszym podpułkownika, dwóch czy trzech oficerów i około pięćdziesiąt żołnierzy; ranili także kilkunastu i majora, ale rażeni od ręcznej strzelby i od harmat, które

druzgocąc drzewa, łomami ich przywalały, zmieszani nadewszystko śmiercią watażki swego, wytopieni po większej części zostali. Resztę niedobitków i rannych zabrano w niewolą; zginęło ich około ośmdziesięciu; pokaleczonych zaś i żywych schwytano do czterdziestu. Watażka ich, ów Iwan Czupryna, ubity został od pierwszego strzału z ręki młodego Lubomirskiego, który przy samym wstępie do lasu, na czele swoich grenadyerów, spostrzegł go klęczącego pod dębem i mierzącego do niego. Uprzedził go książę Marcin, wypalił ze swego sztucca i trupem położył. Znalcziono przy nim bardzo bogatą broń turecką w srebro oprawną, kilka pierścieni brylantowych na palcach, pięć zegarków złotych i tysiąc pięćset dukatów w trzosie. Na drugich także hajdamakach poznajdowano mnóstwo pieniędzy w trzosach i w poduszkach od kulbak, zegarków i broni kosztownej niemało; a w batowni ich, rozmaitego bogactwa co nie miara, w srebrach, materyach litych, pasach złocistych, ochędóstwie niewieściem i futrach, ornatach, kapach i rasach cerkiewnych, kielichach, patynach i monstrancyach. A co żydowskiego odzienia, muszek i pereł kałakuckich i zausznic!... Wszystko to narabowane było w tym biednym pogranicznym kraju. Koni też kilkadziesiąt zdobyto, między któremi wiele dzielnych; reszta pobita w lesie lub ciężko pokaleczona leżała.

Roztoczono obóz na wzgórzu i trzy dni odpoczywało wojsko: przez ten czas spisano zdobycz i rozdzielono pomiędzy oficerów i żołnierzy, nie zapominając i o wdowach poległych. Dostało się podobno kapitanom po pięćdziesiąt czątych, porucznikom po trzydzieści, podoficerom po dziesięć, a każdemu z żołnierzy po cztery dukaty. Sprzęty zaś i ozdoby kościelne złożono osobno, i później po kościołach i cerkwiach rozesłano.

Przysłany też był z Kamieńca Podolskiego sędzia wojskowy z instygatorem i mistrz z posługaczami swemi: zaczęto ciągnąć inkwizycyę z pojmanych hajdamaków i brano ich na tortury. Pokazało się z wyznań, że ich było sto sześćdziesiąt młodźców, i że watażka Iwan Czupryna zatrzymał się i zasiekł w tym lesie, oczekując na nadejście jednej czaty swoich, z piętnastu młodźców złożonej, którą wysłał był z bratem swoim w inną stronę dla rabunku; że przy batowni mieli dwunastu kozaków horodowych, których wymienili, ale że ci niewinni, bo z musu służyli. Że owej nocy, watażko ich, który był wielki charakternik, zwątpił o szczęściu swoim, bo mu zła wróżba wypadła: zauważył bowiem, iż gdy się grzał przy ognisku, wszystka zgryzota zlazła mu się do kołnierza, rzekł zatem: „*Ot teper nam bude lycho z wrażymy Lachamy.*” Że do świtu podzieleni na cztery hufce, mieli razem za danym znakiem we cztery strony uderzyć na przebój,



a znak umówiony był wystrzał watażki z pistoletu, na który każdy oddział po dwa razy z janczarek miał odpowiedzieć; ale że im pomieszał szyki nieprzewidziany wypadek. Oto watażka, gdy już szarżyć zaczęło, popelzał na czworaku ku krawędzi lasu, dla przypatrzenia się co też Lachy robią; za nim kilkunastu poraczkowało mołodców: z tych jednemu rusznica zaczepiona o gałąź wypaliła trafem, a na to fałszywe hasło odpowiedziały drugie wystrzały. Piechota zaś lacka, na ten odgłos tak nagle wpadła do lasu, że nie zdążyli dosiąść koni i trafić do ładu, tém bardziej, iż śmierć watażki od pierwszej kuli, zbiła ich zupełnie z tropu. Spisał sędzia te zeznania, oraz długi rejestr zabitych i żyjących hajdamaków i dekret ogłosił: jednych na szubienicę, drugich na pal, innych na ćwiertowanie wskazał. Żyjących odesłano pod mocną strażą do twierdzy kamienieckiej dla spełnienia wyroku, trupów zaś ćwiertowano na miejscu i rozesłano głowy i ćwierci po miastach i miasteczkach dla wbicia na pale, a jelita z nich, których było nie mało, zakopano w lesie jałtuszkowskim nad wielkim szlakiem, i usypano mogiłę nad niemi ku wiecznej pamiętce tego wypadku. Ale i owych piętnastu opryszków, na których główna oczekiwała szajka, nie wyszło na sucho: schwycono dwóch z pomiędzy nich wysłanych na szpiegi. Stary hajdamaka nic nie chciał wyznać, nawet wśród mąk, na które w końcu był

oddany; ale młodszy wcale nie zbójeckiego oblicza parobczak, badany osobno, któremu zaręczano życie i darowanie winy, a nawet obiecano względy pańskie i służbę u nadwornych kozaków, bo się był księciu Marcinowi podobał, wydał, że o mil dziewięć od tego miejsca ku Konstantynowu, w stepach, w jarze, pomiędzy stertami zasiedli od dni kilku; że liczba ich podwoiła się nowo zrekrutowanemi do trzydziestu głów; że wysyłają na czarny szlak czaty dla chwytania podróżnych, których uprowadzają do swego legowiska; że już mają mnóstwo koni, zdobyczy i niewolnika: obiecał wreszcie doprowadzić do miejsca.

JW. regimentarz wysłał natychmiast trzystu piechurów, wsadziwszy ich na konie wzięte od chorągwi wołoskich, i tyłuż kozaków horodowych, oraz dwa działa, i powierzył dowództwo młodemu Lubomirskiemu, który za waleczną onegdajszą wyprawę do lasu, mianowany został pułkownikiem. Miał on przy sobie jeszcze ochmistrza Francuza, jakiegoś barona, który podobno dawniej w wojsku służywał, i ten mu skrycie dodawał rady; szedł też i stary major z tym podjazdem. Ruszył spieszo przodem wysłany oddział, wodzowie zaś z resztą wojska, i ja z niemi, nazajutrz wolnym pochodem udaliśmy się w tropy za księciem Marcinem. Gracko się znalazł młodzieniaszek, bo tak ostrożnie i przeźornie zszedł hajdamaków, i tak dobrze był dopro-

wadzony przez owego przebaczonego mołojca, że ich zewsząd otoczył, a czatujących na czarnym szlaku, kozacy pojмали śpiących za mogiłą. Lecz owi zaczajeni w jarze nie chcieli się poddać, choć do nich dla postrachu z harmat wystrzelono, i owszem, rzucili się wyrzynać jeńców swoich, w jednej tam chatce zaryglowanych. Jakoż zastano już zarzniętych ośmnastu żydów, kilka żydówek, jednego uniatę i księdza, resztę nadbiegająca piechota ocaliła. Uderzyli grenadyery na bagnety i kłuli jak wieprzów: zabito trzech, powiązano resztę, ale tak srodze poranionych, że większa ich liczba do trzeciego dnia pomarła. Z naszej strony zginął tylko jeden dobosz i kilku żołnierzy rannych nożami zostało; odbito z niewoli sześciu uniatów z żonami, księży pięciu, dwóch Jezuitów, szlachcianek pań i panien przeszło dwadzieścia i szlachty więcej tuzina, wszystkich spakowanych jak śledzi w owej chałupie i odartych prawie do naga; ale później odkryto jeszcze po jarach kilkunastu szlachciców zamordowanych, znaleziono koni tak w batowni, jako też pod kulbakami i łóżnych sto-kilkadziesiąt; pojazdów, półkrytków, bryk, wozów, skarbniczek, kufrow, skrzyń, tłómków, puzder i sepetów zagrabionych na szlaku, mnóstwo wielkie skupionych było pomiędzy stertami. Regimentarz i książę starosta kazimierski, trzeciego dnia dopiero przybyli z wojskiem na ono miejsce; oswobodzeni jeńcy



z rąk zbójceckich, wyszli na powitanie ich z nieudaną radością i dziękczynieniem; zdobycz, którą przy hajdamakach, w batowni i w powozach znaleziono, była niezmierna. Spisano porządnie rejestr wszystkiego, a właściciele pozostali przy życiu oświadczali co im zabrano, mianując sprzęty, suknie i worki, poczem wprowadzono ich do osobnego szałas, w którym rozłożone były grabieże, a poznawszy swoje podług opisu, zabierali.

I tu trzy dni odpoczywało wojsko. Odbył się z rozkazu wodzów, po żałobnym nabożeństwie w dolinie śmierci, przyzwoity pogrzeb ciał pomordowanych chrześcian na cmentarzu najbliższej wioski; żydom zaś dozwolono zebrać trupów swoich jednowierców, dla pochowania ich według własnego obrzędu. Z pozostałej zdobyczy, wojsko znowu otrzymało podział, a młody Lubomirski generałem mianowany został, i zaraz posłano do króla jegomości gońca, prosząc o potwierdzenie. Dla sędziego wojskowego i kata, znalazło się pole do nowych badań i tortur; poczem kilku pozostałych przy życiu hajdamaków na miejscu ćwiertowano lub na pal wbito, a jednego, po złamaniu mu rąk i goleni, zawieszono za żebro na żelaznym haku, bo też ten do największych przyznał się zbrodni. Byłto jakiś oszust, popowicz z Wołynia, wpadł woko pewnej podżyłej już jejności; otruł jej męża, i sam się z nią ożenił. Zrobiła mu zapisy majątku, a on zaczął się już mia-

nować obywatelem, a nawet panem miecznikiem; później zbrzydźwszy sobie babę, struł ją z kolei, a dobra zagarnął. Zaczął następnie gwałty i zajazdy wyrządzać sąsiadom: pozwano go do kryminału i zadano kaduka. Przekonany prawem, uszedł z Wołynia i przystał do hajdamaków, których zadziwił wymyślném okrucieństwem, z jakim znęcał się w zadawaniu mąk nieszczęśliwym ofiarom, badanym o wykrycie przechowanych pieniędzy, i zasłużył u zbójców na przezwisko: *Konfessata*.

Trupy poległych opryszków, tenże sam co i pierwój miały pogrzeb: rozesłano ćwierciami po miastach i gościńcach.

Rozeszło się wojsko po dawnych leżach, a pan regimentarz i wojewoda Tarło, udali się z księciem starostą kazimierskim do Połonnego.

Powrót nasz był tryumfalny przy ciągłym biciu z dział na wałach i palbie z ręcznej broni; na samym wstępie, komendant fortecy, stary Francuz Szambon, podał na sutym axamitnym wezglowiu klucze od twierdzy księciu staroście, a ten złożył je generalnemu regimentarzowi. Cechy mieszczańskie i kahały żydowskie czekały u Krzywój bramy, a w Zamkowej rektor Jezuitów, na czele swoich księży, spotkał wodzów i powitał mową, w której porównał ich do jakiegoś rzymskiego wielkiego Pompusa, co także kiedyś wojował z rozbójnikami, a młodego księcia Marcina, że tak śmiało wpadł do

lasu, pobratał z jakimś rycerzem Kurtusem, który niegdyś w otwartą otchłań miał się rzucić.

W pałacu, księżna staroscina, z licznem gronem gości, na ganku radośnie przywitała zwycięzców; między przybyłymi znajdowała się księżna podstolina koronna i księstwo Jabłonowscy województwo poznańscy. Obiad suty, rześiste kielichy, wystrzały działowe na szanćcach, a wieczorem sztuczne ognie i tańce, zakończyły ten dzień wesoły. I człowiek téż, mój dobrodzieju, nie próżnował, ani się dał prosić do kolejnych wiwatów, ni téż ciągnąć za ucho do skocznych płasów. Młody Marcinek i stryj jego ksiązę Franciszek Lubomirski, świeżo z zagranic przybyli, i kilku innych postrojonych kuso po francuzku, tańcowali menueta, szkota, strasburskiego i sztajera; my zaś kontuszowi, z respektowemi pannami księżny, mazura, krakowiaka i lasze, a wszyscy razem zakończyliśmy bal ruchawym drabantem.

Nie na tym jednym dniu skończyły się uczyty i płasy w zamku połońskim, bo za dawnych czasów zjeżdżano się rzadko wprawdzie, ale za to na długo. Tandem tedy, dnia trzeciego odbyło się dla dam widowisko naśladowujące ów napad hajdamaków, w onej dolinie między stértami. Za jedném z przedmieści upatrzono położenie miejsca nieco podobne do owej okolicy: były tam i sterty, skléciono i chatkę w jarze, niektórych żołnierzy poprzebierano za haj-



damaków, innych za pojmanych podróżnych, nie brakło i niewiast poprzestrajanych; naprowadzono koni, powozów, kufrow, słowem, co tylko potrzebne było do udania tego wypadku. Całe towarzystwo pałacowe pojechało na ono miejsce: damy i poważniejsi wiekiem mężczyźni w licznych i świetnych pojazdach, młodzi zaś wszyscy konno. Gdy już zajęto umyślnie na to przygotowane ławy, stopniowo ustawione i kobiercami pokryte, za danym przez wystrzał harmatni znakiem, widowisko rozpoczęło się tym samym porządkiem, jak ówdzie odbywało się po prawdzie. Piechota i kozacy horodowi rozstawieni zdala, zbliżać się i okrążać zbójceckie legowisko zaczęli, ksiązę Marcin wygramolił się na stóg siana i przypatrywał się wszystkiemu przez perspektywę, a Francuz guwerner, jako naoczny świadek, tłumaczył księżnie i damom szczegóły owego spotkania z hajdamakami. Ksiązę Marcin wysłał jednego z pojmanych szpiegów do rozbójników, upominając, aby się poddali, gdyż są otoczeni; za całą odpowiedź dwunastu opryszków wyjechało konno na wzgórek, lżąc i złorzecząc Lachom. Dano do nich ognia z dwóch dział, i dwóch zważyło się z koni, reszta umknęła pędem ku owój chatce i rzuciła się mordować jeńców. Grenadyery poskoczyli spieszenie i wyłamali drzwi, krzycząc: „bij! zabij! na bagnety!” Nuż bitwa i rzeź na sztychy i noże, nuż wywlekać rannych i trupów, hajdamaków i poj-

mańców; udana krew toczyła się strumieniami, brocząc zwycięzców i zwyciężonych. Księżna matka i przytomne panie rozplywały się nad młodym Lubomirskim, który był bohaterem dnia owego; szkoda tylko, że południe i zachód życia jego nie odpowiedziały nadziejom, jakie wróżył poranek. Sprawdziło się na nim to, co nasze pospólstwo mawia czasem o dniu wiosnianym: „*O! pono dziś nie dotrwa pogoda, bo coś jasne słonko schwyciło się na zbyt rano.*”

Nazajutrz, na teatrze od niedawnego czasu sporządzonym, grano komedią francuzką. Tłumaczyli mi to piąte przez dziesiąte; tyle tylko pamiętam, że w niej siła broi jakaś Furkini, polubienica sułtańska, z nazwiska bardzo podobna do naszej popadianki z Rohatyna, owiej Roxolany, która, jak niesie podanie, miała także być żoną któregoś tureckiego sułtana.

— Czy nie Roxana?—przerwałem.

— O tak, tak mój bracie.

— A więc to była tragedia Rassyna, pod tytułem: Bajazet.

— Może to być, mój dobrodzieju; znajdowałem się na niej jak na niemieckim kazaniu. Występowali w rolach męzkich książę Marcin, jego ochmistrz, i lekarz pułkowy także Francuz; w kobiecych zaś siostra księżny starościny, ochmistrzynie, francuzka małej księżniczki, i córka starego komendanta Szam-

bona; a że nie znalazło się między dworskimi paniami żadnej, coby umiała *parle franse*, bo to wówczas nie tak wszyscy jak dziś paplali tym *bonżurowym* językiem, więc tancmistrzowi Włochowi dano czwartą niewieścią rolę, a młode i niezłe Włoszátko, dość zręcznie udawało bisurmankę. Ubiory aktorów były pyszne; a że to niby rzecz odbywała się między Turkami w seraju stambulskim, więc sprowadzono znacznym kosztem materyi różnych i krawców tureckich z Chocimia dla przystrojenia ich po bisurmańsku. Musiało w tej tam komedyi być coś bardzo rozczulającego, bo i księżna starościna i drugie panie, ocierały sobie częstokroć oczy chustką, wołając: *brawo! szarman! siublim!* Mnie zaś wydało się arcy-pocieszném widzieć Turków rozmawiających po francuzku, a w zawojach i papuciach strojących do kobiet tak czułe koperczaki, jak jakie przepachniałe paryzkie migdaliki. To też kiedy mi powiedziano, że brat sułtański uduszony został, nie żałowałem bynajmniej tego mazgaja.

    Za te parę godzin, które jak głuchoniemy przegawroniłem, wytrzeszczając oczy, a nic nie rozumiejąc, nagrodziłem sobie nazajutrz na wielkich łowach, które nam wyprawił książę starosta: ubiłem bowiem dwóch rogaczy i odyńca. Jakim zaś sposobem wróciłem z polowania, nie pamiętam, bo na obiedzie myśliwskim danym pod namiotem w lesie, tak nas wszystkich uraczył książę, zwłaszcza



gdy ku końcowi rzuciwszy kielichy, z trąbek myśliwskich pić zaczęto, że człowiek i o bożym świecie zapomniał. Bodźcem do tej srogiej pijatyki była dość żwawa sprzeczka o zabitego łosia między książętami Józefem i Stanisławem Lubomirskimi; jeden i drugi bowiem utrzymywał, że zwierz padł od jego strzału: jakże nie pojednać nadąsanych braci? a pojednawszy, jak nie wypić wiwat zgoda i miłość braterska! Tak zaś piękne zdrowie godzić się jednym tylko uczcić puharem? Powtarzano więc tyle razy i tak gorliwie sławiono miłość i zgodę braterską, że nakoniec, gospodarza i gości hajducy musieli wpakować do pojazdu.

Po kilku dniach uczt i tańców, całe towarzystwo udało się do Łabunia, zaproszone od księcia Jabłonowskiego wojewody poznańskiego, który one dobra trzymał przez zastaw od Lubomirskich. Książę Marcin tylko pozostał, mając sobie przez ojca zleconą straż i dowództwo twierdzy połoniskiej; była to na niego łapka, ale z niej wyszedł z honorem. W Łabuniu bowiem, wśród zabaw i bankietów ułożono zamiar ubieżenia zmienacka warowni, dla nauczania czujności młodego dowódcy; sam książę starosta kazimierski podał myśl do tej tajemnej wyprawy. Zgromadzono z parę tysięcy wojska, tak z przybocznej straży księcia Antoniego jako też i regimentarskiej, oraz z nadwornej załogi łabuńskiej i stryjowskich kozaków; ściągnięto pie-

chęć i rajtarów z Równego, a księżę Sanguszko garnizonowi zaslawskiemu przyjsć kazał. Wszystko się działo jak najskryciej, i o prawdziwym celu mało kto wiedział. Ale przewąchał Marcinek, że na niego się gotują; zdaje mi się, iż arędarze łabuńscy wzniecili w nim myśl podejrzliwą. Nie było prochu w zbrojowni łabuńskiej, kazano więc arędarzom dostawić sto centnarów prochu, które należały się od nich corocznie, jako dodatek do karzemnego kontraktu. Żydzi widząc, że w prochowni połońskiej był znaczny zapas, udali się do księcia Marcina, prosząc, aby im odstąpił stu centnarów, przyrzekając za miesiąc, jak sprowadzą z Chocimia, oddać sto dwadzieścia centnarów prochu. Przyjął umowę, a dowiedziawszy się od żydów, że się wojsko w Łabuniu zbiera, zaczął nad tém przemyślać, i posłał cichaczem na wywiady jednego z oficerów, a tymczasem gotował się do obrony. Kazał naprędce garncarzom nalepić kul działowych z gliny, które próżne wewnątrz i nie grubsze jak garnki a dziurawe, lecąc po wystrzale z warczącym hukiem, miały się w powietrzu rozrywać na drobne miazgi. Wrócił i porucznik ze szpiegostwa, i doniósł co słyszał z mów potocznych w Łabuniu o planach książąt; czuwał tedy młodzieniec, a załogę i ryszczunek trzymał na pogotowiu. Wyprawie łabuńskiej przewodniczył ów pułkownik Niemiec (podobno Szak nazywał się), o którym wspomnia-

łem w potrzebie jałtuszcowskiej; ruszyło wojsko nad wieczorem i nie zatrzymało się aż w półmiliu od Połonnego dla odpoczynku. Nim zaś świtać zaczęło, już było pod twierdzą: szturm miał być przypuszczony w dwóch miejscach od rzeki Chomoru, gdzie wały łatwiej przebyć można było. Ale zaledwo na groblach i mostach głuchy szmer i tętent dały się słyszeć, wypuszczono z bastyonów palne wieńce, które oświeciły podstępny zamach. Dopieroż jak zaczęła działa prażyć owemi garncarskimi kulami, to taki mospanie rejwach i huk zrobiły, jak gdyby piekło wrzało. Biedny Niemiec stracił głowę, bo mu się zdało, że prawdziwemi kulami strzelają; nie mogąc trafić napowrót do grobli, zapakował się gdzieś między palisady, a tymczasem dzień już zaczęło i zrobiono wycieczkę z twierdzy, przecięto mu powrót, i dostał się w niewolą. Książę i pan Tarło, którzy z przedmieścia Maryanu przyglądali się wyprawie, nadjechali: obsypano pochwałami młodego Lubomirskiego za czujność, przezorność i gotowość, a nieboraka szoldrę okryto pośmiewiskiem.

Książę starosta kazimierski oświadczył synowi, że wyrobił dlań order Ś<sup>o</sup> Huberta, a przywilej elektorski wczoraj przywieziony mu został, i że w dniu imienin stryjowskich pasowany zostanie na kawalera. Nadszedł też i święty Franciszek Borgiasz; zjechało się zewsząd mnóstwo zaproszonych gości,



przybył dla celebry JW. pasterz biskup łucki, Kobielski, z orszakiem kanoników. Z rana harmaty ryknęły sto razy na wałach, piechota ręcznego synęła ognia, a muzyki zabrzmiały pod oknami na dobry-dzień solenizantowi; następnie ksiązę Franciszek chorąży koronny odbierał od wszystkich powinszowania, po których przeniesiono się do wielkiej pałacowej sali: tam na czterech bogatych wezgłowiach leżały: krzyż świętego Huberta, gwiazda orderu, dyplom elektorski i kosztowna szabla turecka, niegdyś zdobyta pod Wiedniem przez jednego z Tarłów, a w ów dzień darowana w upominku wnukowi przez wojewodę lubelskiego. Wystąpił z mową ksiązę starosta kazimierski, dziękując elektorowi palatynowi za nowo udzielony zaszczyt domowi Lubomirskich. Ksiązę Franciszek, naznaczony listem elektorskim do spełnienia obowiązków mistrza obrzędów w przyjęciu nowego kawalera, odpowiedział w jego imieniu i powinszował synowcowi orderu. Udano się potem procesjonalnie do kościoła farnego, pomiędzy dwoma szeregami uszykowanych żołnierzy, postępowało parami, a ten ogon długo się ciągnął, bo naprzód szli wszyscy oficjaliści od pisarza aż do komisarza, potem paziowie, pokojowi, dworzanie, koniuszy, sekretarz i marszałek; dalej obywatele przybyli i panowie, za nimi dygnitarze i orderowi, za którymi niesiono owe wezgłowia z ozdobami kawaler-

skiem; ksiązę Franciszek szedł naostatku przybrany we wstęgę i gwiazdę świętego Huberta, w czarnym atlasowym hiszpańskim stroju z czerwonymi kompankami, w płaszczu takimże i w kapeluszu ocienionym kilka piórami; za nim o kilka kroków po lewej stronie ksiązę Marcin, podobnież odziany. Czekał już w kościele JW. pasterz; naprzeciw tronu biskupiego, wspaniałe krzesło przygotowane było dla mistrza obrzędu, lecz ksiązę Franciszek stanął tylko przy nióm, ale nie zasiadł. Złożono znaki kawalerskie przed wielkim ołtarzem, odśpiewano *Veni Creator*, i rozpoczęła się czytana msza biskupia, w czasie której ozdoby orderu JW. pasterz pobłogosławił. Potóm wojewoda Tarło i ksiązę Stanisław, jako kumowie, przywiedli pod ręce młodzieńca przed stryja; sekretarz księcia Franciszka, Ussarzewski, przeczytał mu statuta orderu, a kumowie przyrzekli za niego, że je zachowa. Przemówiwszy pokrótce do synowca, wskazał by przykląkł na jedno kolano, i dobywszy podanej sobie szabli, wywinął nią po trzykroć i trzykroć klęczącego po ramieniu uderzył, a potóm przypasał mu ją do boku; następnie włożył nań wstęgę orderu, a kumowie gwiazdę mu przypięli. Potóm wiedli go przed tron biskupi, tu na oba klękawszy kolana, trzymając rękę na świętej Ewangelii, powtarzał przysięgę czytaną przez jednego z kanoników; wróciwszy na środek kościoła, zmieszany trochę głosem palnął

oracyą łacińską, w której, jak mi wytłumaczono, dziękował elektorowi, biskupowi, ojcu, dziadowi i stryjowi.

Tandem wystąpił z kazaniem ksiądz superior Jezuitów Hadziewicz; niewiele on wprawdzie powiedział ku zbudowaniu wiernych, bo całą przemowę swoją poświęcił na wystawienie zacności rodu i świetności imienia Lubomirskich, wyliczając mitry i infuły, buławy i laski, pieczęci i krzesła, dostojęstwa i powinowactwa sławnego domu Szreniawitów. Skończył tym wnioskiem: że gdy rodzina Szreniawa, przeciąga się jako wstęga na herbowej tarczy Lubomirskich, przystoi zatem, aby młodzieniec z tej krwi znamienitej, ozdobił pierś swoją szlachetną wstęgą orderu, którego gwiazda jak tarcza Sobieskiego na empirejskiem niebie, jaśnieć będzie na łonie potomka tyłu sarmackich luminary, którzy nakształt mlecznej drogi promienieją na widnokregu polskiej ziemi. Huknęło głośnie *Te Deum*, na szanłcach zagrzmiały działa, i wpośród wesółych powinszowań, składanych świeżo pasowanemu rycerzowi, wrócono do pałacu, w którego niezmiernie przestronnej sieni, nakryty już był stół w krzyż kawalerski na trzysta osób.

Wieczorem przedstawiono na teatrze jakieś płąsy i skoki murzyńskie: tu popisowały się panny z fraucymeru księżny starościny, który był liczny, i z samych cześnikowien złożony. Poczerniono dzie-



wczęta gdyby diabełków, a szkoda, bo urodziwe były; pouczone od Włocha tancmistrza, wcale zgrabnie młynka się kręciły; młodzi oficerowie od piechoty, co szykowniejsi, udawali murzynów. Ale kto najbardziej w tym, jak to nazywano, balecie, odznaczał się najzwawszą płataniną nóg i najwyższymi susami, to nasz Hubertowy rycerz. Kiedy mi to było przeciwnem, widzieć go w jednym i tymże samym dniu figurującego w poważnym obrzędzie i w łamanych sztukach, udzieliłem moich uwag jakiemuś siedzącemu obok mnie sensatowi (wprawdzie po niemiecku był ubrany, ale wydał mi się człowiekiem poważnym, bo coś myślał i czoło namarszczył), ten tedy mędrak odpowiedział mi: że młody Lubomirski w niczem sobie nie ubliża, bo idzie za przykładem króla francuzkiego Wielkiego Ludwika, który nieraz występował w baletach na dworskim swoim teatrze. Pomyślałem sobie, że nie wszystko to rozumne, czego się za granicami uczą nasi Polacy.

Po tych murzyńskich skokach, ochotniejsze nastąpiły korowody, bo wyszło na teatr dwanaście wesel z muzykami swojemi, lecz nieudanych, ale prawdziwych, bo właśnie w tym dniu pobłogosławiono śluby dwunastu żołnierzy z załogi, z tyłuż mieszcankami połońskiem. Nowożeńcy i swaty, druźbowie i druchny tańczyli do upadłego i kozaka i tropaka, węgierskiego i mazura, kołomyjkę, ober-

tasa i krakowiaka, a miód zapijali szklanicami, bo go im hojnie szafowano; żydkowie zaś i cyganie przygrywali od ucha zwawo i pod nogę. Książę starosta niechcąc, byśmy na sucho przypatrywali się hulającym weselom, skinął, aby podano wina. Wniesiono kosze, poszły kielichy, a spore, gęste i tak nieodmawiane, że mało kto z mężczyzn mógł się pojawić na wieczerzy; sama tylko gołowaśa młodzież tańcowała na sali. W kilka dni dopiero zaczęto się rozjeżdżać. Śmiało mogę powiedzieć, że winem, któreśmy w Połonnym wypili, pożar w mieście możnaby ugasić, a prochem, który na wiatr wystrzelano, zdobyłbyś Kamieniec. Takto, tak, Mospanie, biesiadowano po staropolskich pańskich dworach.

— Ale pan Starosta — rzekłem — obiecał mi opowiedzieć powtórna swoją wyprawę na hajdamaków.

— Mój dobrodzieju! już późno; odłóżmy do jutra, bo stary grzesznik więcej niż wy młodzi, potrzebuje czasu do porachowania się z Panem Bogiem ze stuletnich swoich wybryków. Dobranoc ci zatem kochany chłopcze.

### III.

Po staremu: ogniem, mieczem  
Wytniem, spalim i ucieczem.

Może znowu będzie w Siczy  
Pełno łupów i zdobyczy.

*Bohdan Zaleski. Dumka Mazepy.*

Nazajutrz będąc zaproszony w sąsiedztwo, wieczorem dopiero wróciłem do Barmak. Wchodząc do pokoju pana Starosty, zapytałem go o zdrowie.

— Zdrów jak malon, niech będzie Chrystus Pan pochwalon,— odpowiedział wesoło. — Siadajże kochany rycerzu; byłeś na obiedzie u marszałkowsstwa, no, powiedz mi, co tam nowego słyszałeś?

— Zdawszy sprawę z odwiedzin moich i zasiadłszy u stolika, przypomniałem panu Staroście wczorajszą obietnicę.

— Ha! mój dobrodzieju! przyrzekłem ci opowiedzieć drugą naszą wyprawę na hajdamaków; więc słuchaj, a nie śmieję się w duchu z gadatliwości starca.



— Mógłżeby pan Starosta mniemać,—rzekłem.

— No, no, no, nicby w tém dziwnego nie było; zresztą byłby to oddany chleb, bo ja też kiedyś, pamiętam, będąc pacholęciem, naśmiewałem się z poczciwego staruszka Przeradowskiego, sąsiada rodziców moich, który nam szeroce i nie pojednokrotnie gwarzył o królu Janie, o wyprawie wiedeńskiej, o bitwach pod Parkanami i Strygoniem, na których się osobiście znajdował. A jeżeli tak wielkie i znakomite czyny, częstém powtarzaniem mogły spowszednieć uszom młodzieńczym, czémże się wydadzą mało-ważne postronne wypadki? Chociaż i to prawda, że jeśli tego Niemcom napędził stracha wielki wezyr Kara Mustafa oblężeniem Wiednia, tedy i Wołynianów niemałego popłochu nabawił napad watażki Seńki Czortowusa.

Tandem tedy, w niespełna dwa lata po jałtuszo-wskiej rozprawie, zaczęła się po kraju szerzyć pogłoska, iż potężny zastęp hajdamaków wdarłszy się z za Sieniuhy rzeki, splondrował Kijowszczyznę i puścił zagon głęboko w Polesie, a wracać ma przez Wołyń. Lecz gdzie wytknie z puszczy łeb na pola, którędy pójdzie, nie wiedziano. Cóż to za powszechna trwoga, co za przestraszające wieści krążyły pomiędzy mieszkańcami! a co mila, to rosły w ogromie swoim. Nie było inszej rozmowy tylko o hajdamakach: tam widziano jakichś podejrzanych ludzi, to żebraków, to włóczęgów, zapewne

to szpiegi zbójcekie; ówdzie rabusie spalili dom razem z właścicielem i jego rodziną; w Owruckim całe jedno miasteczko obrócili w perzynę, a żydów w pień wyrznęli; w Mozyrskim, kościół jakoby i kilka cerkwi zrabowali; w inném znowu miejscu napadli na klasztor i zakonników piekli ogniem i żyły próli. A z każdym dniem potęga hajdamaków pomnażała się w opowiadaniach, tak, że już może naliczono ich w dziesięcioro więcej, niż było w istocie. Na drogach spotykano co krok szlachtę i żydów, uwożących żony, dzieci i co droższe ruchomości do miast i zameczków kluczowych, gdzie jakąś spodziewali się znaleźć obronę.

Księżna podstolina koronna była podówczas właśnie na złączeniu; w Równem dużo znajdowało się nadwornego żołnierza, ale że to nieobronne miasto, przeto mąż dla lepszego bezpieczeństwa i spokojności, umyślił zawieźć ją do twierdzy połockiej, aby tam połów odbyła.

— Przepraszam, — rzekłem — że przerywam panu Staroście. Z jego opowiadania miarkuję, że Połonne było bardzo warowną twierdzą i mieszkaniem magnackiem, lecz ja teraz przejeżdżając tamtędy, dostrzegłem wprawdzie ślady wałów, ale ni bram obronnych, ani pałacu widzieć mi się nie zdarzyło.

— Ho! mój dobrodzieju! — zawołał staruszek, — potężna jest ręka czasu do rozsypania w zwaliska wzniesionych dla wiekowania pomników, ale

potężniejsza jeszcze niedbałość ludzka, co na gmachy przez przodków dźwignione, obojętném spogląda okiem, i nietylko nie chroni onych od wypadku, ale jeszcze z gruzów robi nikczemny użytek. Słyszałem ja także, iż tam poburzone potężne bramy fortecy, że pałac książęcy dozwolono rozebrać żydom po cegiełce, a rumowiska użyto do brukowania ulic w ogrodzie; słowem, że jak to powiadają: odarto kościół dla zbudowania kapliczki. Taka to kolój ludzi i dzieł człowieczych! Zresztą Połonne oddawna już przeszło po kądzieli w posiadłość innej rodziny; ale co mię starego najwięcej oburza, to to, iż dzisiejsi dziedzice nie dbają o chwałę Bożą i pozwalają pięknemu kościołowi farnemu niszczyć i pękać, skąpiąc na poprawę dachów, ścian, sklepień i gzemśów; chociaż jako miejscowi kollarowicze, obowiązani są łożyć koszta potrzebne na ten pobożny przedmiot. Ale Bóg z niemi, powróćmy do rzeczy.

Tandem tedy, od niejakiego czasu księstwo starostwo kazimierscy znajdowali się w dobrach swoich w Sandomierskiem, zkąd do Lublina dla sprawy w trybunale zjechać zamierz yli sobie. Syn ich Marcin zostawiony przy dowództwie fortecy, ofiarował cały pałac na rozkazy księżny podstoliny. Wyruszyliśmy więc z Równego, przeprowadzani przez liczny poczet rajtarów i kozaków; piechota zaś naprzód wyprawioną została. W sławuckich



lasach spotkał księstwo młody Lubomirski (już podówczas generał) na czele silnego oddziału wojska, z czterema działami, z których w czasie odpoczynku w lesie, kazał dla księżny kilka sosen zgruchotać.

Stanawszy szczęśliwie w Połonnym, zastaliśmy wszystkie domy zajezdne i mieszczańskie zawalone przybyłymi rodzinami z bliższych i dalszych okolic, szukającymi schronienia pod zasłoną twierdzy. Nie było dotąd wiadomo z pewnością, kędy zwrócili się hajdamacy: wysłano na szpiegi żydów, lecz ci wrócili nic nie sprawiwszy, bo chociaż nęciła ich obiecana sowita nagroda, ale strach dostania się w szpony rozbójnicze, przemagał nad żądzą zysku.

Nareszcie ksiązę Marcin wyprawił ośmiu wierznych i przebiegłych kozaków, dawszy każdemu po dziesięć czatych na drogę, a przyrzekając dać dziesięć razy tyle temu, co przyniesie nie płonną, ale rzeczywistą wiadomość o drodze i sile hajdamaków. Ruszyli kozacy każdy w swoją stronę. Długo, długo nie było o nich wieści: czterech wróciło z niczem. Skupiona w Połonnym szlachta, przymuszona drogo opłacać niewygodne gospody i ladajakie przypasy, już zaczynała szemrać że ich łudzą baśniami, że jeśli byli hajdamacy, tedy musieli już wrócić do swoich legowisk, i zaczęła się wybierać do własnych domów. Wtém dwaj z wysłanych kozaków: Hładki i Łoboda (bo pamiętam jak dziś i tych

dwóch przezwiska) wrócili z wywiadów. Stawiono ich natychmiast przed księciem Marcinem; przybyli oba pieszo i w wieśniaczych siermięgach, i taki zdali raport, przy którym ja tylko z książętami byłem obecny.

„Myłostywy kniaziu i bał'ku, biliśmy się długo z osobna po kniejach i bezdrożach, nimeśmy przypadkiem zjechali się z sobą u jednego futoru w głuchym lesie nad ruczajem. Tam dopiero powzięliśmy niemylnie słuchy o stanowisku hajdamaczem, od starego pasiecznika, bo ten brodacz zna się z nimi, a my też udawali, że chcemy przystać do mołodców. Otóż nas nauczył którejdy do nich przebierać się mamy, a że nam powiedział, iż oni potrzebują przykupić koni, więc zawróciliśmy oba do miasteczka do Zwiahła, gdzie wymieniawszy nasz ubiór kozaczy na chłopską odzież, kupiliśmy za pieniądze dane nam od miłościwego kniazia po drugim jeszcze podjezdku, i wiadomemi już manowcami puściliśmy się ku przystaniszczu mołodców, udając się za parobków wiodących konie na sprzedaż. Powiodło się nam przecież dostać do ich taboru: rozłożyli się oni ztąd o dobre mil dziesięć, wpośród głębokich lasów, w uroczysku nazwanem *obozowisko*. Już tam byli dwaj nasi bracia kozacy, Kiryło Łasun z Iwanem Woroną: ci nibyto przystali do hajdamaków, a pokazywali, że się nie znają z sobą. Łasun osobliwie zyskał u nich wielką wiarę, i ze

starszyzną żyje za pan-brat; a jak bogato chodzi od złota i srebra, jakby jaki wielmoża! Ależ oni wszyscy postrojeni w złociste pasy, taj w karmazyny, w szołkowe żupany, taj w sobole kołpaki, a broń przy nich taka drogo-cenna, żeby i basza turecki nie powstydzil się nosić jej u boku. Poprzedawaliśmy im nasze podjezdki z kulbakami za sutą płacę i ot w kalitkach odnosimy czerwonce miłostiwemu kniaziu. Worona stronił od nas, żeby się nie popadł w porozumienie, a tylko z boku spoglądał gładząc węża, i mrugnął czasem znienacka brwi namarszczywszy. Ale co Łasun, to był przy przedaży koni, targu dobijał i pił mohorycz, a kazał żebyśmy więcej przyprowadzili, a jeszcze okulbaczo-nych; a na stronie szepnął nam, że watażka Czortowus nie zebrał dotąd wszystkich jeszcze mołodców rozesłanych za zdobyczą, których razem ma z górą trzystu; że się dopiero dwie czaty zeszło, a drugie dwie naciągnąć mają; że oni pojutrze ruszają z tego miejsca o parę mil dalej do uroczyśka zwanego *Mogiła Mazepy*, gdzie wszystkim szajkom zbór naznaczony, a ztamtąd dźwigną się razem dalszego probować szczęścia. Kazał nam ptaszkiem powracać i zawiadomić miłostiwego kniazia na ucho, aby był gotów i miał nogę w strzemieniu, a z drugimi nie zadawać się w rozmowy, bo hajdamaki mają wszędzie swoich szpiegów. A jak staną u Mazepy Mogiły, to on musi zostać żeby ich tu-



manić, ale Worona da drapaka i miłostiwego kniazia taśmą na hajdamaków naprowadzi.”

Dał książę kozakom tym po pięćdziesiąt czą-  
tych, obiecując doliczyć resztę za sprawdzeniem  
doniesienia, i skryć się im do czasu rozkazał. Spo-  
sobiono wszystko do pochodu, nie wyjawiając celu  
i czatując na przybycie Worony; jakoż trzeci-  
by o północy, stanął u bramy zwan-  
ej Kijowską, jeździec na koniu uznojonym i  
zadyszałym, i żądał, by go natychmiast  
wpuszczono do twierdzy: było  
Worona, ale nie do poznania, bo w perłowym kon-  
tuszu z guzikami rubinowemi i zbrojny po hajda-  
macku. Oficer od warty, stosownie do wydanego  
rozkazu, zaprowadził go na odwach, gdzie niebaw-  
nie i książę Marcin pospieszył. Pokłoniwszy się  
księciu do kolan, zaczął Worona rozpowiadać, jako  
przybywszy do Mogiły Mazepy, drugiego dnia, kie-  
dy jedna z oczekiwanych szajek rozbójniczych nad-  
ciągnęła, wpośród gwaru i krzątany ogóln-  
ej, upatrzył chwilkę przyjazną do ucieczki, tak, że ani  
postrzeżonym, a więc gonionym nie był. „Trze-  
ba się nam, rzekł, spieszyć myłostywy kniazium, bo  
jutro reszta ma się zejść z watażką, a za dni kilka  
ruszą w stepy, ciągnąc na Konstantynów, który we  
dnie napaść, zrabować i zapalić uradzili, bo czują  
się na siłach. Stanowisko które zajmują, zarosło  
młodym borem i na kilka staj przestronne; ale ob-  
stąpić ich można, bo to ostrów naokoło opasany

rzeczką i grząskiem bagnem, którego ni człowiek, ni koń, ni sobaka nie przebrodzi, a tylko trzy groble do niego wiodą. Należy nam nabrać chleba i strawy na dni cztery, bo ja was myłostywy bat'ku lasami i borami przeprowadzę, a tylko na jedno sioło iść będziemy dla przebycia Słuczy, a piechotę i puszkarzy wartoby wieść na podwodach. Hajdamaki pozuchwalone szczęściem, nie bardzo się pilnują, bo im dotąd nie zaglądnął nikt w oczy, a szpiegi ich, co tu byli w Połonnym, donieśli im, iż fortece ukrzepiają, bo się ich tu boją, to im ani w głowie, żeby kto szedł ich szukać. Bezpiecznych łatwo zejść można, byle nie tracić czasu."

Zawinał się młody dowódzca. Już też przyciągnęły były od dwóch dni z Baru pułki Murdenki i Borysławskiego, pierwszy kozacki, drugi pieszy, a w obu razem liczono do sześciuset ludzi. Do tego połączywszy regiment pierwszy starosty kazimierskiego, oddział piechoty z Równego, część garnizonu, rajtarów nadwornych, kozaków połońskich i rowieńskich, zebrało się na podjazd około sześćset jazdy, szłapaków siedemset pięćdziesiąt i harmat ośmnastie. Trzeba zaś wiedzieć, że się uszczupliło wojska w Połonnym, bo przy dworze podróżnym księcia starosty poszło do Polski dwudziestu czterech rajtarów i pięćdziesięciu kozaków, a piechoty pięćdziesiąt z trzema oficerami wyprawiono do War-

szawy przy furach wiozących potaże, słoniny i ma-  
sła na sprzedaż.

Zaprosiłem się i na tę wyprawę, bo księżna Ho-  
norata i księżę podstoli koronny zobowiązali mię  
skrycie, abym jechał i czuwał nad życiem księcia  
Marcina. Z południa tedy wyciągnęliśmy przez Ki-  
jowską bramę; za miastem, koło Dertki, czekało  
spędzonych kilkaset podwód, po trzech piechurów  
siadło na każdą i wojsko ruszyło, a Worona przo-  
dem ukazywał drogę. Były to łowy na grubego  
zwierza, co to wzrok, słuch i węch ma ostry,  
a ostrzejsze jeszcze pazury; zabroniono więc pod  
najsurowszą karą wszelkiego gwaru, chrząkania,  
a nawet krzesania ognia i palenia tytoniu. Zwrócił  
Worona ze szlaku drożyną w prawo, szedł pojazd  
wśród lasu milczkiem a cicho, tylko kiedy-niekiedy  
koło harmatnie lub od wozu stuknęło na korzeniu,  
albo suchej opadłej gałęzi. Szliśmy ciągle dniem  
i nocą z małemi spoczynkami. Do Słuczy nienaj-  
gorsze były przeprawy, lecz potem wleźliśmy w ta-  
kie gęstwiny, zarośla, wertepy i wyboje, że zaledwo  
podołano wozy i działa wyplątać z tego prawdziwie  
poleskiego kołtuna. To szczęście, że za dnia zda-  
rzyło się przebywać one bezdroża. Gdyśmy wy-  
brnęli z tej puszczy i na rzadszy bór wydostali się,  
Worona skoczył z konia i z radości ziemię pocało-  
wał, dziękując Bogu, że bez przygody dał nam



wyść z owej kniei, czego w nocy bez cudu dokazać by nie można.

Rzadki to lud, te kozaki Rusiny! Jacy praworni i przebiegli, a na przewodników nie znajdziesz im równych: w przygodzie zaś umieją zawsze sobie poradzić. A kiedy się który sercem przywiąże do pana, to i Szwajcara nie szukaj.

Nieopodal tych zarośli był futor owego pasiecznika; obkoczono go znienacka i pochwycono starego łotra. Kilku żołnierzy w chacie jego zostawiwszy na załodze dla pilnowania, żeby kto z jego rodziny nie dał znać hajdamakom o naszym pochodzie, samego wzięto pod straż i kazano mu prowadzić do legowiska opryszków. Worona uprzedził, że o mil parę leży po naszej drodze mała leśna wioseczka z kilku chałup, którąby należało również niespodzianie otoczyć, żeby i ztamtąd hajdamacy nie mieli przestrogi, a razem może się uda jakiego języka schwytać od ich szajki. Wyprawiony zatem został przodem pułkownik Murdzenko ze swemi kozakami i z Woroną, a my szliśmy opodal, prowadzeni ich śladem przez pasiecznika i Łobodę. Udało się Murdzenkowi nietylko wioskę cichaczem oskoczyć, ale nadto ułović dwóch hajdamaków, którzy przyjechali tam za kupnem słoniny i chleba. I tu młójec hoży a urodziwy, okazał się mniej zatwardziałym zbrodniarzem, niż jego podżyły towarzysz, bo badany na osobności przez księcia Marcina, wy-

znał mu ze łzami, że porwany dzieckiem od hajdamaków na Podolu ze szlacheckiego domu, wzrósł na Siczy jako wychowaniec i czeladnik rejestrowego kozaka, i na pierwszą wyprawę dopiero wysłany został pod okiem tego starszego, którego mu dziadkiem (to jest wujem) kazano nazywać, że mu jeszcze nie ufają i na krok nie puszczają samego. Gdy mu zaś książe obiecał nietylko przebaczyć, ale nadto przyjąć do posług jako barwianego kozaka, jeśli wszystko wyzna szczerze i doprowadzi do taborów watażki; przyrzekł i zaprzysiął, że nietylko doprowadzi, ale wskaże miejsca najdogodniejsze do obsaczenia owęj kępy okolonej bagnami i przecięcia pasów na trzech groblach wiodących do niej; dodał i to, że już wszystkie szajki zeszyły się u mogiły dnia wczorajszego, a pojutrze ruszają ku stepom i Konstantynowu. Zresztą co do opisu miejsca w którym hajdamacy legowisko swoje obrali, zeznania jego zgodziły się z powieścią Worony; lecz od starego rozbójnika niczego się nie dowiedziano: ani obietnice i upominania sędziego wojskowego, ni tortura w której kat przesadzał się, nie zdołały przełamać upornej niecnoty zahartowanego w cierpliwość zbrojcy. W téj tedy wiosce spoczęliśmy przez noc, aż nadciągnęły gromady chłopstwa z podleśnych włości spędzone z rydlami i siekierami, a było ich około tysiąca głów. Z rana w dalszy puszczono się pochód, a Murdzenko z kozakami przednią straż

trzymał. Po całodziennym marszu, dostaliśmy się do jednego uroczyska, kędy przed laty musiała istnieć jakaś osada, bo duży kawał wytrzebionego lasu zajmowały ślady ogrodów i zagonów, zgliszczą też chat i studnie zwiastowały pobyt niegdyś mieszkańców w tém miejscu.

Tu nowo-nawrócony hajdamaka oświadczył, iż tylko o duże pół mili znajdujemy się od Mogiły Mazepy, i radził, aby tam przeleźć do godziny drugiej z północy, czyli jak on wyrażał, wskazując na wyiskrzzone gwiazdami niebo, dokąd nie zajdą *kosarze*. Agdy młody Lubomirski okazał obawę, aby hajdamacy w tém miejscu nie wypatryli naszych: „nie bójcie się, powiedział, żaden z nich tu w nocy nie odważy się zaglądać, bo oni to uroczysko mają za zakłętę, gdzie upiory i wiedmy wyrządzają psoty i straszą przychodniów; nazywają też je: *kucoko czorta słoboda*.” Nie musiała to być noc kiermaszu piekielnego, bo żadne straszydło nie przyszło zaprosić do tańca jednej wiedmy, którąśmy mieli w osobie markietanki obozowej, żony pewnego kaprała, dość pochopnej do przejechania się na ożogu.

W miarę znikania gwiazd, widoczniejszemi stawały się luny na niebie od ognisk rozbójniczych odbite. Stosownie do zeznań Worony i młodego hajdamaki, ułożono plan otoczenia rabusiów: na wstępie do każdej z trzech grobel, uradzono uszykować po sześć harmat, zabezpieczywszy je oddziałami pie-



choty i rowem; chłopów zaś rozstawić naokół kępy w piętnastu krokach człek od czleka, który za danym znakiem przez wystrzał harmatni, powtórzony z każdej bateryi, powinni byli rąbać w pień drzewa i krzaki dla zrobienia zasieki. Murdzenkowi i Borysławskiemu poruczono z kozakami i rajtary oglądać i napędzać siekierników, resztę zaś piechoty nad bagnem naokół jako strzelców rozstawić.

Owóz tedy w porządku i milczeniu wyruszyliśmy z *kucego czorta słobody* o godzinie drugiej z północy, zostawując tam bryki, podwozy i konie wieśniacze. Poszło wszystko pomyślnie jak z płatka. Szarżąca dodniówka dopomogła ku porządnemu ustawieniu dział, wojska i chłopów w odstępach naokoło owych trzęsawisk; a snem opilców śpiące hultajstwo, ani zmarzyło że go ułowiono w matnię, tém snadniej, iż ufnie w niedostępność ewetów i bagnisk, zaniedbali nawet postawić straży na groblach.

Książę Marcin objechawszy wszystkie stanowiska i przeświadczywszy się, że już wszyscy są na swoich miejscach, dał znak umówiony: pierwsza część harmat usadowionych naprzeciw największej z grobel, ryknęła druzgocąc drzewa; odpowiedziały im drugie dwie baterye, a tysiące siekier zarazem uderzyło w sosny. Nie wesołe zapewne musiało być przebudzenie opryszków wśród podobnego huku i trzasku. Ucichły działa po dwóch wystrzałach, wstrzymały się siekiery, a Wrona przez bla-

szaną morską trąbę zawołał na rozbójników, aby się zdali na łaskę, bo są otoczeni. Żadna odpowiedź z ich strony nie przerwała ciszy przez kilka minut; wtém na głównej grobli usłyszano tętent kilkunastu koni i wrzaski: *hony! łowy! łowy! postoj Kieryło!* i nim piechota wydała ognia, jeździec na rozpędzonym jak wichur koniu wpadł pośród harmat. Tam go dopiero poznano, że to był Kieryło Łasun. Zawróciła się pogoń ścigających go hajdamaków, zrażona karabinowym ogniem, który rzęsiście na nich puszczono, i który kilku zwałił z kulbak. Już téż i dzień rozświtał. Na trzykrotne wezwanie do poddania się, odpowiedział nakoniec grubiański i obelżywy okrzyk hajdamaków, w którym ani nas, ani naszych matek nie szczędzono. Znowu więc zagrzmiały działa i rozległy się po kniei siekiery, w kilka godzin nieprzebytey zasięk otoczył legowisko zbójców, a kule harmatnie nagruchotały na kępie mnóstwo sosen, rażąc łomami ludzi i koni. Usiłowali wprawdzie odstrzeliwać się z janczarek, powyłaziwszy na drzewa, brała ich na cel i nasza piechota, ale bagnisko zbyt było szerokie dla ręcznej broni: ledwo kilku zabitych i kilkunastu rannych znalazło się z naszej strony.

Tak przeszedł dzień cały. Doradził Kieryło, aby za nadejściem nocy porobić kryjomo zawady na groblach z gałęzi, pniów, kołów i chrustu, wysoko sterczące, by na nich konie więzły; gdyż wa-

tażka niechybnie zechce pójść na przebój. Na dobre nam wyszło, że usłuchano jego rady, albowiem, jak się później okazało, Czortowus rozdzieliwszy swoich młodców na trzy hufce, umyślił owej nocy trzema zarazem groblami uderzyć obces na harmaty i drogę sobie otworzyć. Czatowaliśmy pod bronią, podsłuchując najmniejszego szmeru; wyrzucano ku groblom działa nabite kartaczami. Owóż około północy dało się słyszeć zrazu ciche stąpanie koni, które zbliżając się ku groblom coraz dobitniejszém się stawało, aż nareszcie zatętniły groble od czału i kopyt, a hajdamacy wrzasnęli gromem: *Nute bratia! albo zdobuty, albo doma nebuty!* wypuszczając co siły. Dano się im zbliżyć, żeby wszystkich ściągnąć na groblę, a rachowano że uwięzną na poprzecznych zawadach. Huknęły nakoniec działa. Sądny dzień nastał! Co kilka minut baterye odpowiadały jedna drugiej, jęki konających i rannych, stękania koni, łomot drzew druzgotanych rozlegały się po lasach, a noc ciemna, chwilowo połyskami wystrzałów armatnich rozwi-dniana, dodawała okropności téj scenie. Trwało aż do dnia to piorunowanie; było nowy rodzaj gry, krwawej ślepej babki, w której pułzkarze z zawiązanemi płachtą nocy oczyma, trafiali kto się na strzał nawinał. Za rozświetaniem dopiero ujrzano, jaką klęskę ponieśli hajdamacy: na każdój z trzech grobel leżało po kilkadziesiąt ludzi i koni zabitych,



a w bagnach po kilkunastu utopionych. Na wielkiej grobli, w pośród gałęzi i kołów, któremi zatarasowana była, leżał upłatany i już nie żywy watażka Seńko Czortowus; obok niego dogorywał koń przedniej urody: poznali go Worona z Łasunem. Bogata broń i rzadkiej dobroci szabla, którą przy nim znaleziono, stały się zdobyczą księcia Marcina. Zaliste niebezpieczna rzecz nosić oręż po czarowniku, a Czortowusa charakternikiem zwano. Kto wie, może w nim był jaki urok ciągnący właściciela do łupieztwa i grabieży; czego niestety! dał smutny przykład później zwycięzca hajdamaków przy Mazepy Mogile.

Z rozkazu księcia zawołał Łasun przez trąbę blaszaną, aby ci, którzy chcą życie ocalić, poddali się. Po chwili wyszło na groblę trzydziestu sześciu opryszków zdrowych, a za nimi przypełzło ośmiu ranionych; tyle ich tylko zostało niedobitków ze trzystu dobornych młodców, i jeszcze kilku, których w trzęsawisku zagrzeźłych z pomiędzy kępin wyciągniono. Wzięto ich pod straż i kazano ubiór na wieśniacze zamienić siermięgi, a z każdego ich kaftana po kilkaset wypróto dukatów. Zajęto się wyciąganiem z bagna trupów i pobitych koni, odzierając jednych z odzienia, a drugich z kulbak, bo wszędzie mieli pełno pozaszywanego złota, srebra i klejnotów narabowanych w kilkudziesięciu dworach, cerkwiach i miasteczkach. Nakoniec gren-

dyerowie weszli w ostep hajdamacki dla splondrowania go: znaleziono w batowni osmdziesiąt komi żywych, a kilkanaście zabitych wywleczono trupów, broń i siodła poznoszono do gaju, i zaraz zaczęto spisywać rejestra zdobyczy. Nadjechał sędzia wojskowy z instygatorem i kat z oprawcami: pierwszy dla napisania wyroku na trupów, drudzy dla znęcania się nad niemi; żywych bowiem pojmańców, dla ciągnięcia obszerniejszych inkwizycyi, wysłano natychmiast okutych pod silną strażą do Indiów (tak się nazywały więzienia w twierdzy połońskiej). Zabawiło tu wojsko do dnia następnego, a przez ten czas rozdzielono zdobycz między oficerów i żołnierzy; chłopom nawet dano po kilka tyńfów. Nie przepomniano ani szafarza sprawiedliwości, ani jego wykonawców obdarzyć: ci ostatni pomnożyli zysk swój znalazłszy w żołądku ćwiertowanego jednego hajdamaki sto czerwonych złotych, które był połknął pozwijane w trąbki. Zresztą nastąpiło zwyczajne w takich rzeczach rozwożenie po miasteczkach i szlakach głów i ćwierci rozbójniczych, z czego zaiste więcej wstrętu i obrzydzenia dla podróżnych bywało, niżli skutecznego postrachu dla zaprzędanych piekłu zbrodniarzy. Wyruszyło wojsko napowrót, przebierając się bliższą stroną ku wielkiemu szlakowi; żołnierze szli ochotnie, gwarząc o świeżych przygodach i ciesząc się zdobyczą na której nie zakrwawili rąk, bo harmaty wszystko

działały. Przejeżdżając wedle piechoty, usłyszałem śpiewkę, której jedną zwrotkę dotychczas pamiętam:

Cóż będziemy robili,

Gdyśmy wartę odbyli?

Weźmiem flintę, patronas,

Pójdziem na wieś kury kraść.

Oj! pomyślałem sobie, niedarmo was łapikurami zowią. A od łyeczka do rzemyczka, przy pogodnej do rabunku porze, nie bylibyście lepsi od owych osołedcowych.

Dostawszy się do pierwszej na gościńcu wioski, opuściłem wojsko i pospieszyłem do Połonnego. Tą razą obeszło się bez uczt i tryumfów dla nieobecności księstwa starostwa kazimierskich, a bardziej dla stanu księżny podstoliny koronnej, będącej na samém rozwiązaniu. Jakoż w dni kilka powiła córkę, a że z tego powodu wypadało księztwu czas słuszny zabawić w Połonnym, przeto pożegnawszy ich, odjechałem do Równego, zatęskniony i serdeczną nagłony skłonnością ku hożej wdówie, jejmość pani Teressie z Lasockich Rozembergowej miecznikowej inflanckiej.

— A! — zawołałem, — to się przecież pan Starosta zakochał!

— Cóż to mniemasz, mój dobrodzieju, że pod kontuszem mniej czułe serce bije jak pod waszemi francuzkiemi fraczkami? Tak jest mospanie, kochałem się żarliwie i pocziwie, jak przystoi miłować białogłowę, którą pragniemy pozyskać za do-



żywotnią przyjaciółkę. A już była i pora potemu, abym pomyślał o małżeńskim postanowieniu, bo chociaż za dawnych czasów ludzie nie tak się wczesnie żenili, bo i nie tak prędko starzeli jak dzisiejsi, wszelako do czwartego zbliżając się krzyżyka, i przyjaciele wmawiali, i ja też czułem że nie dobrze samemu człowiekowi na świecie. Ale w czém zachodziła trudność, to w znalezieniu kobiety, któraby się odważyła oddać rękę tak różsławionemu hulace i zawady, jakim był jegomość pan Szymon Zakrzewski.

Tandem tedy pani miecznikowa trzymała czas niejaki na wodzy moje ku niej zaloty. Byłato niewiasta w kwiecie wieku, nadobnej urody i niepospolitego rozsądku, a obejścia się grzecznego i cale udatnego, jak przystało na osobę wychowaną na wielkim dworze książąt Lubomirskich, którzy wydali ją za mąż za śp. Jana Rozemberga obersztlejtanta nadwornej swój piechoty i miecznika inflanckiego, człowieka arcyzaczego i rodowitego szlachcica Polaka, chociaż się po miemiecku nazywał. Z nim ja ścisłą niegdyś miałem zażyłość i przyjaźń, i prawie na moim ręku skonał. Będąc świadkiem przykładnego ich pożycia i małżeńskiej troskliwości, z jaką pielęgnowała długą chorobą nękanego męża, widząc szczerzy żal i nieudane łzy, któremi zgon jego uczciła, powziąłem wielki szacunek dla damy, który z czasem w serdeczne zamienił się przywiązanie. Po dwuletniem wdowieństwie, widząc, że nad-

skakiwania moje uprzejmie przyjmowała, powzią-  
łem dobrą dla siebie otuchę. Ale mi solą w oku byli  
dwaj gachowie, co się ustawnie kręcili koło ciepłej  
wdówki. Jeden z nich jegomość pan Kozyrski vice-  
regent łucki, a niegdyś lubelski palestrant, wielce  
zarozumiała i napuszysta sztuka; wymuszony  
w stroju, pstrzył się różnobarwny gdyby papuga,  
stąpał jako paw, kłaniał się jak indor, siadał uro-  
czyście gdyby burmistrz, a gadał jak wyrocznia,  
niezrozumiały dla wielu, bo łacińskie i prawne  
wyrazy przepolaczał w potocznej rozmowie, a na-  
wet w zalecankach do kobiet. Drugi zaś był nie-  
jaki Nowokrzycki, major z regimentu cudzoziem-  
skiego autoramentu; ten niegdyś miał zostawać  
w służbie saskiej, i walczyć w owej pamiętnej sie-  
dmio-letniej wojnie, z którą przy łada zręczności  
występował na plac. Słodziutki, grzeciutki, za-  
cierał ręce jak aptekarczyk kiedy skręca pigułki,  
wzdychał czule przy mojej wdówce i oczy miłośnie  
zawracał. Ubrany krojem miemieckim, nadstawiał  
się pudrem i ogromnym harbajtlem, który jak ka-  
wał kija okręconego wstążką spadał mu po grzbiecie  
i aż do pasa dochodził. Pierwszy z nich półmędek  
przenosił mię okiem, mając za głupca, żem jego  
cudackiej mowy nie pojmował; drugi zaś plotkarz,  
dołki podemną kopał.

Wiesz mój dobrodzieju, że miłość rywala nie-  
cierpi. Jednakże przez wzgląd dla damy i uszanowa-

nie dla jęj domu, znosilem dośc długo przygryzki tych ichmościów, ale naostatek przebrała się miara cierpliwości, bo mi zaleli sadła-za skórę. Kto szuka guza, łatwo go znajdzie, a chcącemu psa uderzyć o kij nie trudno. Koniec końców rozprawiliśmy się z sobą na szabelki, i wyznać muszę, że mi tężej z kordem dotrzymał kroku jurysta niżli żołnierz. Tandem tedy, wedle przysłowia, mądry przedysputował, ale głupi pobił; dałem Mospanie obudwom po kolei takiego haniebnego odkosza, jednemu po łapie, drugiemu po papie, że się ruski mieścąc lizać musieli. Ja zaś tymczasem wolne mając szranki, szturm przypuścilem do serca bohdarki. Wzbraniała się nieco, przekładała obawy swoje i skrupuły, wszelako nie czyniąc mi wstrętu. Aż nareszcie namowy przyjaciół i wdanie się księztwa, a trochę i serce, skłoniły ją do oddania mi ręki. Pobraliśmy się tedy, nie huczno, ni buczno, bo dla wdowy družbowie, druchny i grajki nieprzystoją; ale wesołe a przystojne odprawiwszy gody, pożegnałem dwór rowieński, wynosząc się z żoną nie za dziesiątą górę i za siódmą rzekę, ale poprostu o kilka staj od Równego, tu do tych Barmak, które ona przez zastaw trzymała, a które później kupilem na dziedzictwo od księcia podstolego koronnego. Ale, ale, muszę ci tęż mój dobrodzieju pokazać ciekawy kawalek: jestto list jegomośc pana vice-regenta do pani miecznikowęj Rozembergowęj, w czasie zalotów



jego pisany, który ona później, będąc już moją żoną, oddała mi. Zachowałem go jako osobliwość; musi być w téj szufladzie.—To mówiąc pan Starosta, odsunął szufladę od stolika, i poszukawszy czas niejaki, wyjął staroświecki, niegdyś biały, atlasowy pugilares. Zpełzłemi jedwabiami szydełkową robotą wyszyty był z jednej strony ołtarz, na którym płonęły dwa serca przebite strzałą; z drugiej, w kwiecistym wieńcu cyfra S. M. Z. Rozwiązawszy wypłowiałą różową wstęgę opasującą ów upominek miłosny z Augustowskich czasów, poniósł go do ust, mówiąc: — Hej! hej! gdzie to te rączki, co cię haftowały! — i dobył półarkusz żółkłego papieru, który dał mi do przeczytania. — Oto jest ów ciekawy zalotności palestrańskiej zabytek:

*Wielmożna mnie wielce Mościa Dobrodziejko!*

„Gdy potylekrotne moje z osobistości komparacye i verbalne merita, w procedurze matrymonialnej konjunkcyi, i u krated trybunału serca WW. pani dobrodziejki deponowane, nie odebrały dotąd z melodyjnych ust jęj pożądanej repliki, umyśliłem więc wstrzymywany na akcessowych, wezwąć na konferencyą sympatyczne sentymenta i adoracye moje dla jęj persony, resplendującej inkorporowanemi w nięj perfekcyami, i uczynić literalną manifestacyą affektu ferworu i zelozyi, które w pektoralnych latifundiach moich od tak dawna wysia-

dują supersessyą na rzecz WW. pani dobrodziejki. Apelując zaś do najwyższej instancyi rozumu i perspikacyi pani mojej, śmiem konserwować przezumcyą, iż dekret, chociaż kontumacyjnie ferowany, nie skondemnuje mię, i owszem faworalną przynie sie mi solucyą.

„A ponieważ wakująca po zgonie śp. miecznika inflantskiego konnubialna posada, wzbudziła o ję rękę kilku pretendentów; heredowanie zaś tak precjonalnego remanentu nie podlega ani konkursowi pacioritatis ani kompromisarskiej exdywizyi, a tylko jednemu adjudykowane być może; przeto najuniżeniej supplikuję WW. panię dobrodziejkę, abyś raczyła kontrowerssyjne współ-pretensorów impetycyę przeważyć na szali imparcyalnej Themidy, i personalnym onych kwalifikacyom intrensekwalny położywszy walor, zadeklarowała, kto z nas legalnie formować może prawo do aktoratu. A jako niegdys on trojański Parys, nie dywidował na trzy porcyę złotego jabłka, lecz jednej tylko z trzech bogiń kompetytorek Wenerze, fruktu całkowitego przyznał possessyą; tak i WW. pani dobrodziejka owoc on rajski będący mnie w litygii, jednemu ze trzech aspirantów do skonsumowania reponować obligowaną jesteś, koncentrując swoje wota na tego, który kordyalnego ję applauzu jest najgodniejszy. Miałzeby nim być jegomość pan Starosta?... Rekuzuję najmocniej i admitować tego nie mogę.

Bo czyliż tak delikatnych sentymentów dama, jak WW. pani dobrodziejka, zdoła akkordować estime i konsideracją dla istnego gladyatora i pokulatora jakim jest ten parasita dworu rowieńskiego, którego wokeyferacye i klamory, razić powinny subtelny tympan uszu kreowanych jedynie dla słuchania miłosnych inflexyów, modulacyi i suspirów: i którego impetyczne traktamenta i antischolarna cywilizacya, nasuwają suspicyą o plebejuszowskiej procedencyi. Co się zaś tycze jegomość pana majora, usiłującego miodopłynną elokwencyą konwinkować WW. panią dobrodziejkę o swojej inamoracyi, a bez exhibicyi dokumentów, militarnym tylko uniformem chcącego insynuować opinią o heroicznym swoich imprezach; taką mam jedynie do zrobienia względem niego delacyą, jaką powziąłem z oficjalnych kwerend i kommunikacyi: oto już w owych siedmioletnich giermańskiej Bellony inwazyach i expedycyach, których tak pompatyczną czynić zwykł naracyą, zajmował on przy saksońskich kohortach officyum nie wielkiego splendoru, subalterna medycyny, vulgo cerulika, a co gorsza, że jest apostatą cyrkumczyzi alias neofitą, o czém nawet familijna jego kognominacya do supponowania podaje assumpt.

„Owóz jacy są antagoniści moi! Modestya nie dozwala mi produkować się z egotycznym panegykiem, abym nie popadł w kategorią owych indy-



widuów, o których mówią prowerbialnie, iż mają złych sąsiadów, bo sami swęj famy są proklamatorami. Ale na własną WW. pani dobrodziejki deliberacyą zostawiam zrezelwowanie tego argumentu, czyli dyscypuł i socyusz znamienitych trybunalskich mecenasów i juryskonsultów, licencyat i filar prześwietnej palestry, parentelat i possesyonat z antenatów téj prowincyi, niegodzien jest preferencyi nad owemi odwenami od fluminów Narwi i Jordanu, których filiacya jest problematem, exystencya ewigmatem, a substancya trudną do zlikwidowania kwestyą?... Konkludując tedy uniwersalnie akceptowanym axiomatem: *caedant arma toga*, to jest, armatury z drogi ustąpcie dla togi, śmiem suplikować WW. panią dobrodziejkę, ażebyś z sentycyonarza swego, tym godnym expulsiyi intruzom, ogłosić raczyła awizacyą do reassumowania się z jęj domicyliów, fawore zacniejszego intrommitanta. W expektatywie zaś fortunnego perswazyi moich sukcesu, paląc aromatyczny serca holokaust przed ołtarzem afrodyzyalnych wdzięków WW. pani dobrodziejki, i prosternując facyate moją u jęj podestałów, submittuję powolne służby moje z głębokim respektem i akkomodacyą, gotów na rozkazy.

„WW. pani dobrodziejki geneflektujący  
adorator i uniżony sługa.

*Roch Rogala Kozerski, V. G. Ł. mpp.*”

— Prawda, że pocieszna odezwa, — rzekłem, skończywszy czytanie, — jeszcze mi się nie podobnego widzieć nie trafiło. Niech pan Starosta pozwoli mi ten list przepisać.

— Daruję ci go w oryginale mój chłopcze, może ci posłużyć za wzór jak będziesz pisał do swojej bohdanki, a sam widzisz jak był korzystny dla jegomości pana vice-regenta łuckiego. Tandem tedy, po ożenieniu się mojem zacząłem szczerze a pilnie pracować na kawał chleba, i było koło czego zakrzętać się, bo prócz Barmak, żona moja trzymała po mężu przez zastaw od Lubomirskich wieś osiadłą Matusów i Madianową groblę w Śmilańszczyźnie o milę od Szpoły; ja zaś ze sprzedanej w Płockiem ojcowizny, i z własnego na posesyach dobrobku, mając kilkadziesiąt tysięcy złotych, zadzierżawiłem od książąt Jabłonowskich na Ukrainie Ossotę i Janówkę. Bóg naszój pobłogosławił pracy: bo chociaż z natury nie jestem wędzigrosz, i ani gościowi szklanki wina, ani przyjacielowi pomocy, ni kwestarzowi opatrzenia, ni żebrakowi wsparcia, nie pomnę żebym kiedy odmówił, jednak majątek wzrastał z latami. Ale też rzetelnie powiedziawszy, za bezcen puszczała panowie owe złote ukraińskie dobra. Ja naprzykład, dzień pańszczyzny po sześć groszy płaciłem. Wprawdzie nie warowano nam w kontrakcie bezpieczeństwa osób i majątków narażonych na hazard z powodu zuchwalstwa

czerni i niemilego sąsiedztwa Siczy zaporozskiej; lecz szlachta podlaska i mazowiecka, uboga a śmiała, wzięwszy sobie za godło: *kto nie waży ten nie ma*, jak owi awanturnicy, co to gdzieś na koniec świata za złotem płynęli, puszczała się na los szczęścia, zbywając coraz ciasniejsze po przodkach spadkowe zagrody, i szła na Ukrainę dorabiać się grosza, a czasem dać gardło pod nóż hajdamacki. Najprędzej ze wszystkich porastali w pierze gubernatorowie kluczowi i podstarościowie folwarczni, bo ci tam ciągle mieszkali i mieli swoje handelki, przemysły i obrywki, częstokroć nie bez krzywdy włościan. Ja zaś z mojami wołałem się dzielić, zjeżdżając tylko parę razy do roku dla odebrania aręd, czynszów i danin, i dla spieniężenia pracy pszczołek, przychowku bydła (bo zboże bywało po niczemu), niżeli zamieszkać w bogatej ale smętnej Ukrainie, której żona moja bała się jak grzechu śmiertelnego. Wszelako wзираłem w to jak najsurowiej, aby chłopstwa nie ciemieżono, raz że ucisk jest występkiem którym się brzydzę, a powtóre, że niwa ukraińska tak jest hojna, że każdemu co chodzi koło niej, wypłaci się sowicie bez wielkiego znoju i ludzkiej krzywdy. Byli tedy i włościanie zamożni, i jam worki rublami ładował; a że przy orle żywią się ptaszęta, to i mój podstarości matusowski, Wotorkiewicz, przesłużywszy lat kilkanaście, wziął sam później wioskę dzierżawą. Dobrze się nam działo



z moją Teresienką, dostatek się przymnażał, ale Pan Bóg ani jednem nie pocieszył nas dziecięciem. Miałać ona z pierwszego małżeństwa dwie córeczek: Rozalią i Karolinę, lube dziewczątka; te więc oboje głaskaliśmy i hodowali. Z czasem zdarzył im los zacnych ludzi, którym posłubione od nas zostały: Rozalia wydana za Macieja Leśniewskiego miecznika sieradzkiego, zbyt wczesnie zmarła, zostawiwszy dwoje dzieci; Karolina zaś połączona z Antonim Frankońskim stolnikiem wendeńskim, żyje dotąd; a płodniejsza od matki i siostry, urodziła pół tuzina synów i kilka córek. Musisz mój dobrodzieju znać którego z nich, bo mieszkają na Wołyniu. Owóż nieboszka żona moja, przekonała się w kilkunoletniem pożyciu naszym, że diabeł nie tak straszny jak go malują, i że ów pan Szymon, którego się zrazu lękała, posłuszniejszy jest na skinienie wachlarza, niżeli na rozkazujący znak buławy. Bo, mój bracie! w mojem zdaniu ten podły, kto się znęca nad kobietą, dlatego tylko, że mocniejszy; złych niewiast znać nie chcę, ale cnotliwe, rozsądne a piękne, kocham i uwielbiam. Raz tylko jeden popełniłem głupstwo i uchybiłem żonie, ale tego wiecznie żałuję i wstydzę się.

Miałem u siebie kilku przyjaciół opojów. Dawniej rzadko która pijatyka obeszła się bez palenia z pistoletu do celu, i my także wystrzeliliśmy tuze i kralki. Owóż podmówionemu od tych łotrów,

zachciało mi się odbić kulą koreczek u trzewika żony mojej. Kiedym jęj to oświadczył, rzekła: — Dobrze, ale kiedy się mamy bawić, bawmyż się wszyscy: wy pijecie, jam trzeźwa; niech mi podadzą szklanke wina, a spróbujemy się: ty mężu celuj do mego koreczka, ja do twojéj zmierzę podkówki. I stanęła z pistoletem w jednéj, a ze szklanką w drugiéj ręce. Ażem struchlał Mospanie! ujrawszy kobietę, która żadnego trunku prócz krynicznej wody nie znała, niosącą do ust pełną szklanicę węgrzyna. Padłem jęj do nóg jak długi, przepraszając ze łzami za moje grubiaństwo. Nie dała się długo błagać, bo to była sama dobroć. Zawarliśmy szczéry pokój, a od tego czasu, mój bracie, nigdy jęj żadnym uczynkiem, trzeźwy czy pijany, nie obraziłem. Tak tedy błogiém domowém szczęściem kołysany, i gospodarstwem wiejskiém zajęty, przestałem w dworskiej smakować polewce, tém bardziej, że dobrodziej mój, ów książę podstoli koronny, zaczął coraz jaśniejsze okazywać ślady podupadającego rozsądku przy wzrastającéj namiętności do kart. Poszły w ką ulubione dawniej tryszaki i chapanki, tryssety, kupce, wózki i szlifowane maryasze, a natomiast kwintecze i faraony wystąpiły na plac. Złoto przeważało się kupami po zielonych stolikach, a kredziane ogromne rachunki mazane po całym suknie, przemieniały się na rękodajne summy. Zjawiły się jakieś nowe, nieznanne, od psich głów figury. Ci to

w sojuszu z domowymi zdrajcami, owładawszy pochlebstwem niedołężny umysł, darli i obrywali biednego księcia bez litości i wstydu. Aż serce bolało patrzeć na zmówne oszustwo téj bezczelnej zgrai; a zaradzić temu nie mogłem, bo głos prawdy i przywiązania nie trafiał do przyémionéj głowy. Usunąłem się więc powoli od niemiłego widoku.

Na sejmiki téż wojewódzkie zaniechałem uczęszczać, na których dawniej, nieraz szablica moja nasiekała zrazów, a czasem i samemu zdarzyło się z pokiereszowanym łbem powracać do domu. Bo téż prawdę mówiąc, na tych sejmikach działy się rzeczy, czasem śmiechu godne, ale częściej zgrozy. Panowie upajali szlachtę, a potem na harc ją puszczali. Pamiętam raz w Łucku, pod koniec sejmiku, ksiązę podstoli koronny prowadząc za sobą zgraję suszykuflów, zaszedł do winiarza, i kazał wynieść beczkę wina; lecz kupiec oświadczył, że już żadnego trunku nie pozostało mu w sklepie, tak wszystko aż do lagru rozszykował pomiędzy sejmikujących. Udał się zatem ksiązę do sąsiedniej apteki, tam dla napitku podano ogromny gąsior anodyny, który do dna rozczęstował pomiędzy zwolenników swoich. Nie jednemu łokciem oczy stanęły, nie jeden łyknąwszy, rozdziawił paszczę nie mogąc odetchnąć, ale mimo to, butel osuszono co do kropli.



Inną razą widziałem szlachcica jednego ścinającego się ze czterema, którzy nań potężnie nacierali szablami. Było to na piętrze w korytarzu bernardyńskiego klasztoru. Naprawiano właśnie podówczas mury, i ściana zewnętrzna kończąca korytarz rozwaloną będąc, ziewała obszernym otworem. Szlachcic ów naciśniony od następujących na siebie, cofał się żwawo i uskakiwał wzdłuż korytarza ku rozburzonej ścianie, aż nareszcie nie obejrzawszy się że z tyłu przepaść, runął z piętra na ziemię i potłukł się haniebnie na gruzach, tak, iż w pół żywego odniesiono do gospody.

Zdarzało się czasem, że i nie szlachta uczestniczyła w sejmikach. Znałem jednego kowala imieniem Hawryłę, któremu dziedzic sprawił wojewódzki mundur i przypasawszy szerpetynę, nazywał go w czasie owych zjazdów panem Gabryelem Kowalewskim. A że mówił dość płynnie i śmiało po polsku, więc nie domyślano się w nim farbowanego lisa; chłop zaś sążnisty i silny, nawykły do młota, machał szablą jak piórkiem, i kiereszował po łbach rodowitą szlachtę gwoli rozkazom pańskim.

Przytrafiały się także niekiedy wypadki dość smutne, jak ów, który się zdarzył w Kamieńcu Podolskim. Opowiadał mi o nim znajomy mój Makowiecki. W latyczowskim powiecie, we wsi Hałuzińcach, zasiedloniej drobną szlachtą, która wszystka prawie nosi nazwisko wsi swojej, jeden z panów

Hałuzińskich zbałamucił żonę sąsiadowi. Obrażony mąż, złapawszy czułą parę na gorącym uczynku, chciał pomścić swęj krzywdy i rzucił się z kijem na zwodziciela; lecz ten młodszy i silniejszy, nietylko że obić się nie dał, ale jeszcze przy pomocy niewiernęj małżonki, ogromne sprawił cięgi zazdrośnikowi i stłukł go na winne jabłko. Skrzywdzony podwójnie, odszedł, warząc gniewy i zemstę w sercu. Na sejmikach podolskich, dwa przewodziły stronnictwa: jedno książąt Czartoryskich, drugie Potockich; zhańbiony mąż znajdował się w pierwszym z nich, do drugiego zaś zaciągnął się zuchwały ów rywal. Przypadek zrządził, że się spotkały na ulicy koło Dominikanów dwie nieprzyjazne partye: podpiła szlachta zaczęła przegrażać i urągać sobie nawzajem, a nasz zwodzieiel Hałuziński, dufniejszy bezkarnością, jał się jawnie natrzasać z przygody biednego małżonka.— „Mości panowie bracia! zawołał ten do swoich, błagam was na wszystko, pomścijcie się krzywdy mojęj i całego męzowskiego cechu zniewagi! Oto ten łotr, ten urwis, nietylko że mi żonę uwiódl, ale jeszcze mój szlachecki grzbiet sromotnie wyłatał.” — Błysnęły szable, rzucili się Czartoryscy na Potockich, ci ostatni mniej liczni, cofnęli kroku w nieładzie; ale sprawca zwady, ów zalotnik, pochwycony został. Obalonego na bruk przytrzymawszy, wydano na pastwę mściwemu męzowi, a ten głuchy na prośby, modły, zaklinania

i jęki cierpiącego, tępą i poszczerbioną swoją szablą odjął mu na zawsze możność hańbienia siebie. Ktoś mi mówił, że przed kilkaset laty, pewien francuzki kanonik postąpił sobie podobnie z kochankiem swojej siostrzenicy.

— To zapewne — rzekłem — historia Abelarda i Heloizy?

— Być może, ale wątpię, żeby latyczowski szlachcic o niej kiedy słyszał. Widać tylko, że duch zemsty jednakowe ludziom nasuwa pomysły. Nie dosiadywał po tej sprawie zemszczony małżonek i natychmiast umknął za Dniepr; a tyrańsko ukarany cudzołożnik nazajutrz życia dokonał. Powiadają, że gdyby się był dostał w ręce biegłego konnowała i pod nóż płytszy niż ów szczerbiec, mógłby być żyć i zostać jeszcze ozdobą jakiej kapeli, lub też nie jeżdżąc tak daleko, podjąć się straży charemu u chocimskiego baszy.

Wszędzie dobrze, a w domu najlepiej: tak powiadają ludzie, tego i ja podówczas byłem zdania. Zadomowawszy więc, począłem rozmyślać i filozofować nad nierządem naszym, nad zaślepieniem braci szlachty, nad dumą magnatów, a utyskiwałem na ciągłe zrywanie sejmów, z których żaden pono nie doszedł za panowania ostatniego Sasa.

Umarł nareszcie August III. Jeśli w kraju nie było ładu za króla, który najczęściej w ulubioném Dreźnie mieszkał, nie lepiej téż działo się w czasie



bezkrólewia. Wyuzdana swawola puściła się na bezprawia: najazdy domów, rozboje po drogach zagęściły się na pograniczu, a co gorsza, iż niektórzy ze szlachty nie wstydzili się rabusiów rzemiosła. Sądy kapturowe jak mogły powściągały te łotrowstwa, i surowo niekiedy przestępców kaźniły. Ja sam jadąc za kupnem wołów na Pobereże, byłem w Winnicy naocznym świadkiem zdjęcia głowy przez kata niejakiemu Ociesalskiemu, który z podobną zgrają czeladzi najeżdżał i łupił dwory w województwie braclawskim. Pojmanego na uczynku i skazanego wyrokiem sądów kapturowych na karę miecza, chcieli odbić z rąk mistrza studenci licznej zawsze szkoły OO. Jezuitów winnickich, podburzeni przez synowców winowajcy, którzy byli ich współuczniami; ale urząd kapturny przewidując co się knuje, pomieszał ich szyki, podwoiwszy konwój, dla przeprowadzenia więźnia na plac kary. Spadła więc z karku niecna głowa na postrach jemu podobnych.

Przed nadejściem jeszcze uniwersałów, któremi prymas Łubieński wzywał wszystką szlachtę z ziem i powiatów do przybycia na sejm elekcyjny, wypadło mi, dla interesu z młodszemi bracią, jechać do Płocka, a po drodze wstąpiło się i do Warszawy, właśnie w czasie sejmu konwokacyjnego. Jak się nam powiodło na tym sejmie, jak dążąc do Płocka, trafiłem do Podolinca na Spizu, już ci to dawniej mój

przyjacielu, nadmienilem. Wróciwszy od granic węgierskich, stroskany losem starego hetmana i niedolą rzeczypospolitej, odetchnąłem w Barமாகach przy poczciwej żonie, i po dawnemu oddałem się gospodarskim trudom, zamierzywszy sobie nie mieszać się do żadnych w kraju rozruchów, które baczniejsi ludzie przepowiadali. Tak zeszło lat kilka, i byłbym może dotrwał i nadal w postanowieniu mojem, gdyby nie traf nieprzewidziany, który mnie wtrącił do konfederacyi barskiej.

— Oho! — podchwycilem, — to i pan Starosta był konfederatem?

— A jużci, mój dobrodzieju, tylko że niezbyt długo, i nie też osobliwszego nie dokazałem.

— Ja jednak ciekawy jestem: niech mi pan opowie jak to było?

— Chętnie, kiedy taka twoja wola, więc posłuchaj. Owóz wybór nowego króla nie zadowolnił narodu. Nie mógł Stanisław Poniatowski poszczycić się ani starożytnością książęcego rodu, jak Wiszniowiecki, ani wojenną sławą i zwycięztwy jak Sobieski; obudził zatem, jak każdy dorobkowiec bez szczególnych zasług, więcej zawiści niżli poszanowania. Powtarzano sobie urągliwie owe wierszyki:

O! dziwne sądy Boskiej Opatrzności:

Syn królem, ojciec w krzesle, a dziad podstarości!

Od dworzan nawet swoich niekiedy tak małego doznawał poważania, że przymuszony bywał przy-

Starosta.

8

pominać sam nie jednemu: — „Cóżto, nie wiesz, że z królem mówisz?” — Z dwóch przykładów, które ci przytoczę, bierz miarę o powadze tronu i osoby panującego.

Stawiła się raz przed królem delegacya z ziemi zakroczymskiej, z prośbą, aby jako ojciec poddanych swoich, raczył przedsięwziąć środki do zapobieżenia głodowi, zagrażającemu owęj okolicy z powodu nieurodzaju; lecz ichmość panowie posłowie, zapewne dla uczynienia swęj mowy rzewniejszą i bardziej przekonywającą, pozwolili sobie pod dobrą datą stanąć przed majestatem monarszym. Wysłuchawszy król cierpliwie chmielnej perory, odpowiedział na nią: — „Mości panowie delegowani! w dalszym ciągu panowania naszego, starać się będziemy, ażeby ziemia zakroczymska chleb miała i na czczo się nie upijała.” — Drugi przykład lekceważenia osoby monarszej dał ów Xawery Branicki, niegdys przyjaciel i stronnik, a później wróg Stanisława Augusta. Będąc posłany do Paryża dla pewnych dworskich układów, gdy wracał z Francyi, zajęchali mu drogę w Błoniu pieczeniarze i zausznicy. Nie szczędzono wina na uczczenie pożądanego wędrowca, i Branio tęgo podchmielony przybył do zamku dla zdania sprawy z posłannictwa swego. — „Ach! mój Branicki, rzekł mu król urażony, godziło się w takim przynajmniej razie być wstrzemięźliwszym.” — „Najjaśniejszy Panie, odpowiedział zu-



chwale, lepiejby się działo w ojczyźnie, gdyby wasza królewska mość, tak jak ja pił z przyjaciółmi.”

Obok tego, przyjaciele dawnych swobód i wolności utyskiwali na zmiany zaszłe w rządzie rzeczypospolitej, dążące jakoby do zrobienia króla samowładnym. Sprawa znowu dyssydencka jątrzyła gorliwych katolików; wołano, że król wspiera kalwinów i lutrów, że król farmazon. Już sejm 1766 r. nie okazywał się przyjaznym dla Stanisława Augusta; następnie konfederacja radomska wzmogła niechęć narodu, a uwięzienie dwóch biskupów, wojewody krakowskiego i posła podolskiego, ostatek wyczerpnęło cierpliwości.

Ja właśnie podówczas pojechawszy na Ukrainę, przesiedziałem dłużej niż zwykle w zadzierżawionych wioskach, dla niektórych odmian i polepszeń w gospodarstwie. Wtém zaczęły przedzierać się słuchy o jakichsiś knowaniach konfederackich na Podolu. Zauważyłem także niespokojność i szeptę pomiędzy czernią, a miny chłopskie coraz zuchwalzemi stawały się. Mój bracie, trzeba żebyś wiedział, że kiedy cię ponury Ukrainiec z podelba wzrokiem zmierzy, to aż mrówie najśmielszego przechodzi. Tknięty jakimś smutnym przecuciem i tęsknotą, przyspieszyłem mój powrót na Wołyń, nie przewidując jeszcze klęsk i okropności, jakie wkrótce kraj ten zalały. Wypadła mi droga na Przyłukę. Zaledwo rozgościłem się na popas w do-

mostwie, przybywa jakiś towarzysz, wzywając, abym się stawił u JW. marszałka konfederacji Puławskiego, starosty wareckiego. Znałem ja jeszcze w Warszawie pana starostę; ruszam więc do dworu kędy miał swoją kwaterę: zastałem dość liczne grono obywateli znanych mi i nieznanym. Był tam gospodarz domu, gościnny dziedzic Przyłuki Piotr Borzęcki; był podżyły już, ale śmiały Szczeniowski, starosta trechtymirowski; byli kasztelanice Giżycki z Krasnopola, i stary jowialista Iliński z Maniowiec z synami swojemi; był Żaboklicki, Gawroński, Makowiecki, Kaczkowski, Bielowski, Trzeciewski, Brzozowski, Mrozowicki i innych wielu ziemian podolskich i braclawskich.

Puławskiego otaczało trzech synów, prześlicznych młodzieńców: najstarszy Franciszek, mający około dwudziestu trzech lat, smętnę trochę i zamysłonę twarz, ale przenikliwego wzroku, miał być uczony i wymowny i do pióra nader zdatny. Najmłodszy Antoni, urodziwy ośmnastoletni dzieciuch, orlego nosa i śmiałej postawy, zapowiadał wojaka. Ale nad wszystkich podobał mi się średni z pomiędzy braci, Kazimierz, młodzian zaledwo dwudziesty pierwszy rok liczący, a już wodza w nim przeczuć można było. Nosił strój z węgierska, włosy w tył zaczesane odkrywały wzniosłe i harde czoło; młodzieńczy wąsik zakręcony w pierścieniu, junańczył świeże i gładkie lice, a w spojrzeniu błyskał

ogień odwagi i dowcipu; ruchy zaś jego wszystkie były tak szykowne, tak udatne i zręczne, że dorazu odgadnąć w nim można było i tęgiego jezdźca i zawołanego szermierza. Jakoż nie zawiódł w późniejszym czasie powziętych o nim nadziei, bo imię jego w kraju i za granicami stało się głośnem.

Tandem tedy pan starosta warecki, który, jako dawny mecenas trybunalski, był wielce wymowny, spotkał mię z perorą, w której rozwodząc się nad uciskiem rzeczypospolitej, nad podeptaniem wiary i wolności, zachęcał mnie, abym z obecnemi bracią szlachtą połączył usiłowania moje ku ratowaniu ginących swobód narodu; i wezwał, abym podpisał akces do konfederacyi zawiązanej w Barze. Uważ sam mój dobrodzieju, czy mogłem odmówić Puławskiemu? Raz że już zdawna dąsałem się w duszy na króla Poniatowskiego, a powtóre i to miałem na uwadze, bym nie wyszedł na sucho z pomiędzy konfederatów. Wziąłem się więc do pióra; wiesz bracie że ze mnie pisarz niezawołany, i potrzebuję nieco czasu do nakreślenia sporych i kosztlawych głosek imienia i nazwiska mojego. Otóż nim jeszcze dokończyłem mazać *Szymona Zakrzewskiego* na konfederackim papierze, dano znać, że się zbliżają komputowi. Jakoż niebawnie ozwały się trąby i kotły: JW. marszałek konfederacyi z obecnemi obywatelami wyszedł na ganek, a cztery chorągwie pancerne, z rozwiniętymi znamiony, z powiewającemi



proporcami zaciągnęły na obszerny dziedziniec. Prowadził je starszy namiestnik, w którym poznałem moją dawną znajomość z owęj jałtuszkowskiej jeszcze na hajdamaków wyprawy: słowem, był to ów cześnik nurski Tomasz Ci....ński. Po uszykowaniu się i oddaniu cześci wojennej marszałkowi konfederacyi, zsiadł z konia namiestnik i z ustnym raportem postąpił ku panu Puławskiemu. Opowiedział więc, jako odebrawszy uniwersał wzywający wojska komputowe do łączenia się z konfederacją, ściałnął do Fetyjowa cztery chorągwie pancerne, będące pod jego dowództwem, a mianowicie: dwie książąt Lubomirskich, wojewody braclawskiego i podstolego litewskiego, trzecią biskupa krakowskiego i czwartą Rozwadowskiego starosty ostrzkiego. Lecz przed samém wsiadaniem na koń, wpadł własny jego porucznik Ignacy Woronicz, świeżo mianowany vice-regimentarzem partyi ukraińskiej, który jako zwolennik dworu, chciał nietylko zatrzymać chorągwie, ale jeszcze poprowadzić je dla połączenia się z pułkami królewskimi. Musiał tedy, on namiestnik, wbrew karności wojskowej, osadzić pod strażą swego porucznika i vice-regimentarza, a chorągwie przywiódł pod rozkazy J.W. marszałka konfederacyi. Pochwalony za gorliwość ku ojczyźnie i uściskany od Puławskiego namiestnik, przedstawił mu i mianował po nazwisku każdego z przybyłych towarzyszy pancernych,

którzy zsiadłszy z koni zbliżyli się gromadnie, a było ich około trzydziestu. Ile zapamiętam, szczególnie tych, z którymi później żyć mi się zdarzyło, byli tam: Czajkowsy bracia, Stępowski, Susin, Czarkowski, Świderski, Tyszkowski, Marszycki, Trzaskowski, Dederka, i drudzy którzy z czasem szwadronistami pozostawali, a z którymi potem nie jedną beczkę węgryzna, a w niedostatku tego, jak się zdarzało niekiedy na Ukrainie, i wołoszyna kufę wypróżniłem. Pomędzy towarzystwem stało też jedno niewielkie, czupurne pachole, jakoby lat szeesnastu, w pancerzu i misiurce, które zdawały się zaciężkie i niestosowne do wzrostu i wieku osoby. — Któż jest ten młodzieniec? zapytał Puławski. — Jestto, — odpowiedział namiestnik, — syn mój jednak, którego przyprowadziłem na usługę ojczyźnie. — Poskoczył ku młodzieniaszkowi starosta warecki, a ujawszy go pod pachy, podniósł do góry i zawołał: — Patrzcie bracia! oto ojciec, jak niegdyś Abraham swego Izaaka, przynosi jedyne go syna do ołtarza ojczyzny na ofiarę wierze i wolności! — Strwożył się nieco chłopak, gdy się znalazł w szponach marszałkowskich. Puławski zaś postawiwszy go na ziemi, palnął do nas wszystkich żarliwą mowę o obowiązkach poświęcenia życia i majątku w sprawie powszechniej. Trafiała treść jej do serca słuchaczów, bo dostrzegłem łzy w oczach wielu; ale niemniej przekonującym było i zakończenie,

w którym, w imieniu gospodarza domu, Borzęckiego, zapraszał przytomnych na żołnierską przekąskę.

Nie długo w Przyłuce gościł pan starosta warecki, bo mu pilno było nawiedzić drugie jeszcze ziemie i powiaty dla zagrzania ducha i wciągnięcia szlachty do związku konfederacyi. Odjechał więc nazajutrz, każąc wszystkim ścigać się do Baru, a dowództwo powierzył Barczewskiemu porucznikowi pancernemu.

Szczęśliwy, zem się spotkał z dawnym znajomym i przyjacielem panem cześnikiem nurskim, nie odstąpiłem go już, umyśliwszy tę wyprawę odbyć obok niego. Nie trzeba mi było szukać rynsztunku wojennego, bo miałem w karabanie broni podostatkiem, którą nawykłem być czyto w domu, czy w podróży mieć zawsze na pogotowiu: obyczaj ten przetrwał u mnie podziś dzień. Patrz tylko, a znajdziesz przy mojem łóżku pojezdną szablę, parę pistoletów i sztuciec loftkami nabity. Był też w tłomoku i stary mundur pancerny; szły dwa dzielne konie powodne i czterech barwianych kozaków, którzyby się za mną i w piekło rzucili. Odesłałem do Barmak kolasę moją na passach trypą papuziej barwy wybitą, jako powóz dla wojaka zbyt-kowny, i przez starego woźnicę Błażeja nakazałem do żony mojej, aby się nie troszczyła o mnie, bo w dobrej sprawie idę walczyć, a tylko żeby się na moję intencją modliła do N. Panny Szpanowskiej.



Poszliśmy więc ku Barowi pochodem wolnym i bezpiecznym, częściej na karabanach niżli koniach jadąc. Tam dopiero gdyśmy nadążyli, znaleźliśmy ruch wielki, bo powzięto wieści, iż Xawery Braniccki, łowczy już wówczas wielki koronny, zbiera pułki królewskie i przedniej straży, i ciągnie na Bar; a ma ku pomocy piechotę sprzymierzoną i Dońców. Naszych konfederatów zebrało się około dwóch tysięcy głów, licząc w to komputowych, szlachtę co na koń wsiadała z pocztami swojemi, załogę twierdzy, puszkarzy i piechotę cudzoziemskiego autamentu, którą przywiódł generał Pągowski, a i ten i my wszyscy, poszliśmy pod rozkazy porucznika Barczewskiego.

— Jakto? — zapytałem, — i generał pod rozkazy porucznika?

— Tak jest, mój bracie, — rzekł pan Starosta. — Ten bowiem był dawniej przywilój znaków poważanych, że nietylko porucznik, chorąży, ale nawet namiestnik i towarzysz husarski albo pancerny, za starszego się poczytał od pułkownika lub generała piechoty, i ci musieliby iść pod jego dowództwo; ale zwykle każdy z nich starał się posiadać rangę oficerską w poważnych chorągwiach. Owóż Pągowski, nie wiem dlaczego, nie miał stopnia komputowego, i po staremu służyć musiał Barczewskiego. Ale Boże odpuść, takie téżto było i posłuszeństwo, nietylko ze strony Pągowskiego, ale i ze strony

wszystkich; każdy robił co chciał, a za grzechy ogółu, jedynym winowajcą był biedny dowódzca.

Tandem tedy, owa sławna forteca barska, w bardzo lichym była stanie. Wał ziemny i fosy otaczające miasto, pozasypywane w wielu miejscach, mianowicie od szturmów przypuszczanych przez bydło i kozy żydowskie; palisady waliły się w niektórych miejscach, a w innych całe ich braknęło; cytadela wprawdzie warowniejszym opasana murem, ale i ten gdzieniegdzie był poszczerbionym. Zawinał się nasz Barczewski około wzmocnienia twierdzy: ponaprawiano wały, poodnawiano fosy, połatano ostrokoły, pogrodzono kosze i usypano ratle. Czekaliśmy tedy nieprzyjaciela z niezłą otuchą, rachując szczególnież na posiłki, które nam Puławski od Trębowli i Czerwonogrodu nadesłać obiecał.

Ale widzę, że się zadługo rozgadałem. Jeżeliś więc jeszcze ciekawy słuchać rozwlekłej gawędy starca, to ci jutro dopowiem o nieszczęśliwych powodzeniach naszych.

## IV.

Było jakiś czas rozruchów,  
Więże dalej do szabelki;  
W oblężony wpadłem Głuchów,  
A w Głuchowie kłopot wielki.

*Bohdan Zaleski. Co mi tam.*

— Panie Starosto,—rzekłem nazajutrz,—rozeszliśmy się wczoraj na wałach barskich, wyglądając nieprzyjaciela.

— O! mój dobrodzieju! nie długośmy na przybycie jego czekali. Nadciągnął łowczy wielki koronny Branicki, a z nim generał A..... i usadowili obóz w pół mili od twierdzy. Zrazu byliśmy dobrej myśli, bo nam dodawał ducha Ojciec Marek Karmelita, obiecujący cuda i opiekę Matki Boskiej; z takim przemawiał zapałem i przekonaniem, że wzbudzał wiarę i męstwo; nawet mu przypisywano cud jeden, bo kiedy po ustawieniu pierwszej nieprzyjacielskiej baterii, puszkarz lont rozpalony przykładł do działa, ksiądz Marek patrzący na to z wału, przeżegnał znakiem krzyża harmatę, a ta od wy-



strzału rozerwaną została. Nie widziałem tego na moje oczy, ale taka wieść krążyła w Barze. Był także między oblężcami drugi kapłan, niemniej bogobojny a odważny: ksiądz Bardecki Dominikan, kapelan chorągwi pancernych. Ten z nami zawsze wyjeżdżał na szarmytle, na dobrym siedząc podjezdku, z krucyfiksem w ręku, zawsze na przodzie, zagrzewał do męstwa. A jako niegdyś promotor rożańcowy w Lubarze, on pierwszy zagajał pobożne pieśni ku chwale Bogarodzicy, jakoto: *Bądź pozdrowiona Panienko Marya, Gwiazdo morza*, lub przedawniałą już nieco: *O! gospodzie uwielbiona*. A my obyczajem przodków wtórowaliśmy chórem.

Nieźle się z początku udawało naszym harcownikom, bo w kilku wycieczkach zachwycono kilkudziesięciu ludzi. Ale razu jednego chytre lisy zmyśliwszy ucieczkę, naprowadzili naszych pancerników na zasadzkę; jak się więc sygnie z za góry cały pułk dońców, a za nimi i dragonia, wrzeszcząc hurra! tak nasi w nogi *fugas chrustas* do fortecy. Z uciekającymi zmykałem i ja, ale obejrzawszy się, spostrzegłem, że ksiądz Bardecki został w tyle ze swoim bucefałem i że go potężnie jeden kozak dojeżdża. On zaś widząc że źle, a nie mając czem pobudzić wierzchowca swego do żwawszej ucieczki, jał go krucyfiksem okładać na wszystkie strony. Żal mi się zrobiło pocziwego Dominikana, zawróciłem przeto konia, a zbiwszy proporcem owego

harcownika z lęku, co już ratyszczem próbował białego habitu, udało mi się przecież uprowadzić zdrowo naszego mistrza śpiewu.

Była to ostatnia konfederacka wycieczka. Gdy bowiem obiecana odsiecz nie przychodziła, a cudów śnać niegodni, napróžno wyglądaliśmy, wkrótce Branicki i A.... ścisnęli ze wszech stron twierdzą, a narzucawszy nam nie skąpo kul działowych, za które oddarować się również hojnie napróžno okopy barskie usiłowały, będąc słabą obsadzone armatą, przystąpili nakoniec do szturm. Najsilniejszy przypuszczono gwałt do bramy od strony kantarowych młynów, której bronił Kajetan Giżycki, dla wola na szyi przezwany *gulą*. Sąsiednie zaś szańce zasłaniały chorągwie pancerne pod wodzą starego Tomasza Ci....ńskiego. Towarzystwo i szeregowi spiesznie osadzili wały. Szturmujący naciskawszy faszyn w przekopy, wdzierali się na szańce. Odpieraliśmy ich dzielnie, a pan Tomasz ze mną kilku grenadyerów rzucił na łeb do fossy, bo nasz cześnik nurski, choć już podżyły i niewielkiego wzrostu, ale nader był barczysty i krzepki, a sercem sztukował brak dorodniejszej postaci.

Pomiędzy naszym towarzystwem, szczególną odznaczali się odwagą czterej rodzeni bracia Wąsowscy, młodzieńcy urodziwi i dzielni, sławieni ze zgody i miłości braterskiej: w ogień i piekło poszedłby jeden za drugiego. Jednego zaczepiwszy,

miałeś ich czterech na karku. I tu także, stojąc obok siebie jak przykuci, jedném walczyli sercem; gdzie najęźszy był ogień, gdzie największa przewaga szturmujących, tam czworogłów braterski uderzał, silny mężtwem, silniejszy wzajemną pomocą. Odlatywały odcięte bagnety, waliła się w rowy spychana piechota, zmiatali orężem szańce. Ale niestety! nie długo trwały dzielne zapasy tych pięknych ofiar na śmierć przeznaczonych. Nowy, przemagający zastęp grenadyerów wdrapał się na okopy. Wąsowscy nie cofnęli kroku, ścinali się do ostatka, dopóki po kilka bagnetów w jednej prawie chwili nie uwięzło w czterech szlachetnych piersiach. Jak żyli nierozłączeni, tak i trupem obok siebie polegli. Na ten okrutny widok, ciężko zajęczał mój stary namiestnik i łzy strumieniem puściły mu się z oczu. Ale nie było czasu płakać umarłych. W tój właśnie chwili rozległ się okrzyk: „Zdrada! zdrada! ratuj się kto może! nieprzyjaciel w twierdzy!” Nie było tam żadnej zdrady: u nas to tylko Polaków przegrana i nieszczęście, zdradą się nazywa. Waleczny *gula* = Giżycki, pomimo najzaciętszego odporu, uleźć musiał przewyższającej potędze. Grenadyery włamali się do bramy i wpadli do fortecy. Pan Tomasz postrzegłszy, że wszystko stracone, zawołał: „wiara, za mną do cytadelli.” Cofnęliśmy się więc dość porządnie na zamek, którego most przed nadchodzącym nieprzyjacielem zwiedziono.



Zbytńia słabość tój warowni, szczupłość wojennych zapasów, nie dozwalały myśleć o długiej i uporczywej obronie; Barczewski przeto kazał wywiesić białą chorągiew. Na siwej dzielnej klaczy, w burce spiętej na ramieniu, z zawieszistą miną, przybył do mostu łowczy W. koronny, celem umawiania się o poddanie zamku. Ale Barczewski stojąc na murze, wręcz mu oświadczył, że nie chce z nim żadnych mieć układów i żądał przybycia generała cudzoziemskiego A.... Ubodło to mocno wielkiego łowczego i pomścił się później. Nie długie były rokowania i traktaty z generałem. Poszła załoga barska w niewolą wojenną. Przepadły Mospanie, mój karaban, konie i rubelki ukraińskie, ściągnięto kurtkę i czapkę, a nawet butów pozbyłem, bo nas rozbrojonych odarli do nitki owi więźnie, których kilkudziesięciu schwyciliśmy byli na szarmyclach, a którym po zdaniu się cytadelli, rozwarto rygle od turmy. A! mój dobrodzieju! cóżto za rabusie i jak doskonale kieszonki wytrząsać umieją. Wyszedłem z ich rąk goły jak święty turecki: to szczęście przecież, że mi hajdawery zostawili, chociaż mogły ich były barwą swoją przyneść, bo ja całe życie karmazynowe nosilem i noszę. Nie wiem, jakim sposobem ten stary ówik, pan Tomasz, potrafił skryć przed niemi skórzany woreczek ze trzystu dukatami. Ależ to nie pierwszy raz miał on do czynienia z temi kamraty, bo trzy-

mał kiedyś za królem Leszczyńskim, i odprowadzał go do Gdańska. Tandem tedy pognano nas jeńców pieszo do królewskiego obozu: kto był ranny, albo ustał, bagnetami, grenadyery dokłuli. Wieczorem pan łowczy W. koronny, podochociwszy sobie wedle zwyczaju, kazał przyzwać Barczewskiego, i zaczął surowo i obelżywie urągać jeńcowi, wyrzucając mu zuchwalstwo z jakim go spotkał na murach zamkowych. Nieugięty złym losem Barczewski, odpowiedział z szlachetną dumą na niecne obelgi; czém tak rozzłościł łowczego, iż zawoławszy aby podano kajdany, przy sobie jeńca okuć w nie rozkazał. Wszelako później, za wdaniem się przyjaciół, a nawet i obcego generała A.... zdjęto zeń łańcuchy.

Około sześciu niedziel przebyliśmy w niewoli; konfederatów wysłano na wygnanie, komputowych zaś przyłączono do pułków królewskich. Niektórym z towarzystwa dozwolono rozjechać się po domach, lecz każdy dał na siebie cyrograf, że przeciw królowi nie podniesie oręża, i że na pierwsze zawołanie regimentarza, stawić się będzie gotów do chorągwi. Udało mi się przecież wykręcić od przechadzki nadto dalekiej, pod pozorem, że się liczył za towarzysza w chorągwi biskupa krakowskiego, luboć po prawdzie, od wielu już lat mój sowity poczet komu innemu był odstąpiony. Dopomógł mi w tej mierze brat rodzony pana Tomasza, Marcelli

Ci...ński, który był chorążym w pułkach przedniej straży; a więc jak się nie rzadko w wojnach domowych zdarza, nosił oręż przeciwko swemu starszemu bratu. Ten miał jakikolwiek wstęp do Braniczkiego, który burmistrzując samowolnie, uwalniał i więził kogo chciał. Gdy więc za mną wstawiał się pan Marcelli, a wspomniał mu, że jestem bratem rodzonym Eustachego Zakrzewskiego, nietrudno mu było pozyskać dla mnie ułaskawienie, bo pan łowczy koronny chciał tém pogłaskać mego brata, niedawno mianowanego generał-adjutantem królewskim, któremu już był winien pieniądze, a jeszcze pożyczyć pragnął. Podpisałem tedy na siebie cyrograf, jakiego tylko żądano, a za pożyczonych od pana cześnika nurskiego kilkanaście czątych, ogarnąwszy się nieco w tandecie obozowej, wyruszyłem na najętąj podwódce do Barmak. A chociaż wjazd mój do domu cale nie był tryumfalny, i luboć miasto zdobyczy, łachmany prawie przywiozłem na grzbiecie, wszelako żona powitała mię uprzejmie, pogdyrawszy tylko trochę, żem się jej nie poradził przed zaciągnięciem się do konfederacyi.— Ho! moja Imość! odrzekłem, wielka zaiste szkoda, że ciebie z nami nie było; możeby waszeci lepiej słuchano niż biednego Barczewskiego, który do ładu z bracią szlachtą trafić nie mógł.

Na tém się tedy zakończyły moje konfederackie przewagi. Za to przez lat kilka łątać musiałem



dziury w worku, oblężeniem barskiem, a bardziej jeszcze buntem chłopstwa ukraińskiego zdziałane. Przycupnąłem więc w domu. Nie wiodło się w tych stronach konfederatom. Podhajec, Berdyczowa okopy wzięte, śmierć starego Józefa Puławskiego w więzieniu u Turków, tułactwo po Wołoszczyźnie Joachima Potockiego podczaszego litewskiego, a nadewszystko Ukraina krwią szlachty ociekła, przyczyniły się do stłumienia zarzewi konfederackich w Kijowskiem, Braclawskiem i na Podolu; a Wołyńianie cicho siedzieli. Lecz w Mazowszu, w Krakowskiem, w Wielkopolsce i Litwie, barska konfederacya długo jeszcze wrzała, i brat mój Karol przez lat kilka dzielnie i czynnie po Mazurach z szabelką się uwijał. Był to sobie, jakem ci to już, mój dobrodzieju, po kilkakroć namienił, junak niepospolity, całą gębą człowiek i do rady i do zwady, a miał przytém dar miłości bliźniego. Owóż tedy cała ziemia zakroczymska okrzyknęła go swoim marszałkiem konfederackim. Jakoż potrzeba było mieć szczególną odwagę, przezorność i dowcip nie skąpy, czujność też i ruchawość nie lada, aby tak jak on, lat kilka prowadzić dorywczą wojnę w okolicach stołecznego miasta, gdzie król i największą miał siłę zbrojną i łatwiejsze sposoby doścignienia nieprzyjaciół. Nieraz on ocierał się z podjazdami swojemi o rogatki warszawskie i narobił trwogi; nieraz przebrany, aż do samego wcisnął się miasta, dla

wywiedzenia się, co tam rada królewska knuje przeciw konfederatom, i dla zebrania składek od osób sprzyjających powstańcom, z którymi ciągle miewał znoszenia się. Uprzedzony wcześniej gdzie ma iść wojsko królowi przyjazne, dawał o tém znać drugim dowódczom konfederackim, a częstokroć i zasiłki pieniężne przesyłał im. Sam zaś tak umiał kierować oddziałami swojemi, to zbierając, to rozpraszać je naprzemiany, stosownie do potrzeby, że wielkiej walki z nieprzyjacielem unikał, a częstkami obrywał go ustawicznie. Parę razy tylko, upatrzawszy pogodną porę, starł się wstępny bojem; ale to grał na pewno, i dał też porządnie po tebinkach Poniatowczykowi.

Do jakiego zaś stopnia posuwał śmiałość dzielny mój brat Karol, przekonasz się, mój dobrodzieju, z jednego czynu, który ci przytoczę. Kiedy rada generalna konfederacyi, pod marszałkowstwem Pacca, i za sprawą sekretarza swego Bohusza, zjechawszy do Koniecznej na pograniczu węgierskiem, ogłosiła tron za wakujący, a Poniatowskiego nieprzyjacielem ojczyzny uznała, i zapozwała go do stawienia się przed sobą, a w razie gdyby nie stanął, za wyjątego z pod prawa uważać kazała, i porządek prawny wymagał, aby takowy wyrok, drukowany w Węgrzech, objawiony został wszystkim aktom grodzkim i ziemskim w Koronie i Litwie, a pozew aby był wręczony obżałowanemu; znaleźli się

śmiełkowie, którzy wnieśli do ziemstw i grodów uchwałę generalności: ale któż się mógł odważyć złożyć pozew do własnych rąk królewskich? Mój Karol podjął się tego. Dobrawszy więc dwóch podobnych sobie zuchów: Strawińskiego i wiernego Tresseberga za świadków, których prawo mieć żąda, wkradł się z niemi do Warszawy, dostał się do zamku, wcisnął się na pokoje i w izbie czekał na przybycie króla, a przechodzącemu podał przy owych świadkach urzędowy pozew do stawienia się przed radą generalną konfederacyi. Król wziął papier, sądząc, że to jaka prośba, a w czasie kiedy go przebiegał wzrokiem, mój brat nie w ciemną bitą, zwinął z nienacka chorągiewkę z towarzyszami swemi, a wcisnąwszy się w tłum, zniknął z oczu, wymknął się z zamku i ujechał szczęśliwie z Warszawy.

Ale do czasu dzban wodę nosi, i dla niego też po kilkoletniem powodzeniu, wybiła nareszcie złowroga godzina. Połączył on był swój oddział z owym walecznym Sawą: oba godni siebie, wspierali się i ręką i radą, a łowczemu koronnemu kilka razy dali się dobrze we znaki; lecz w końcu odparci przez Branickiego, i zbici od Suwarowa pod Szreniskiem, poszli w rozsypkę. Po tej porażce, Sawa ciężko ranny uchodząc z placu, znalazł schronienie w jednej ustronnej chacie wieśniaczej niedaleko Sulawy. Ale odkryto go po kilku dniach,



a żołnierze nieprzyjacielscy, zamiast uczczenia walecznego męża, dokłuli go bagnietami. Mój zaś brat Karol udał się z niedobitkami swemi ku Tykocinowi. Tam napadnięty i obskoczony od Dońców, ścinał się dzielnie na rynku wiejskim: wyginęli wszyscy prawie towarzysze oręża, konia pod nim ubito, on sam jeden cofnąwszy się pod posąg Czarnieckiego, dobył z zanadru krucyfiks, ucałował go, i gotów na śmierć, bronił się do ostatniego, nie przyjmując pardonu i drogo napastnikom przekazując życie. Skłuty nakoniec spisami, wyzionął ducha u podnóża kamiennego wizerunku wielkiego męża, co na posłudze kraju żywot dzielny sterał. Zaiste, czy można było wybrać miejsce godniejsze dla zgonu rycerskiego człowieka! Szabla i krzyż uwięzły w martwych dłoniach tak silnie, że pierwszą z wielką trudnością wydarto mu z ręki, drugi zaś, wyprężoną lewicą ujęty jak w kleszcze, razem z trupem Karola przez pobożne osoby pogrzebiony został.

Zaszlochał pan starosta wymawiając te słowa. Zamilkł, a dwie duże łzy spadły po jego twarzy. Poglądałem ze czią i w milczeniu na tę oznakę miłości braterskiej, którą wspomnienie wzbudzało po półwiecznej stracie w sercu zgrzybiałego starca. Uciszenie to trwało dość długo, nakoniec przerwał je pan starosta, i tak dalsze ciągnął opowiadanie.

— Pokój umarłym! my zaś, którym Opatrzność boska dała przeżyć ich na tym świecie, módlmy się

za ich dusze i błagajmy nieskończonego miłosierdzia dla grzechów; które popełnić mogli.

To, co ci mój dobrodzieju o biednym naszym bracie Karolu opowiedziałem, zaszło w trzy lata dopiero po moim z Baru powrocie. Tam jeszcze w ciągu oblężenia doszły nas owe okropne wieści z Ukrainy o buncie chłopstwa, które korzystając z oddalenia się wojska narodowego i szlachty, co na koń siadała dla zaciągnięcia się pod znaki konfederackie, a ośmielone będąc wtargnięciem Zaporozców pod swoim atamanem Żelezniakiem, rzuciło się jak wściekłe na dwory i karczmy, rabując, paląc, wyrzynając bez braku płci i wieku rodziny szlacheckie i plemię Izraela. Zdrada Gonty, rzeź humaniska, niesłychane okrucieństwa, których się rozbezwstwiona czerń dopuszczała, strachem i zgrozą przemawiały. Nie prędko zdołano poskromić bezprawia wyuzdaną tłuszczy, a pamięć koliszczyzny dotąd zamracza ukraińskie niebo, i jak widmo jakie, lub nocna zmora, straszy na wstępie do tych okolic.

Nie była to więc pora gospodarowania w Osocie lub Matusowie. Musiałem do czasu odpasać przychudłe niewolą boki wołyńskimi kluskami w niedostatku tuczniejszych ukraińskich pierogów. Lecz gdy już Gonta odniósł zasłużoną karę, a Zaporozców Rossya ukróciła, na buszujące zaś jeszcze chłopstwo gotowano wyprawę, jam też zaczął wybierać się w Smilańskie strony. Dowiedziawszy się, że

nowo-mianowany regimentarz partyi ukraińskiej Jan Stempkowski, zbiera chorągwie i zbrojno ma ciągnąć na Ukrainę, pospieszyłem do Trojanowa, kędy się on ze sztabem swoim rozłożył, aby bezpieczniej odbyć owę wędrówkę pod zasłoną kawaleryi narodowej, tak się bowiem zwać zaczęło pancernych, zwlokłszy z nich zbroje.

Znałem ja dobrze przed laty pana nowego regimentarza, a niegdyś kasztelanica żarnowskiego, bywał albowiem w Dubnie i w Równem, a i u niego w Szepetynie gościć mi się zdarzyło. Przyjął mię uprzejmie i ludzko. Stoły trzymał otwarte, przywabiając obywateli kijowskich i zniewalając ich dla króla, którego był gorliwym stronnikiem. Oficerów także i towarzystwa liczną podejmował gromadę. Bawiono się wesoło, bo Polak prędko biedy zapomina. Spełniano kielichy przy huku moździerzy, tańczono ochoczo przy odgłosie muzyki. Pan regimentarz posuwistemi kroki wiodąc pierwszą parę w polonezie, wykrzykiwał: *hej! szła!* a nad Tykiczem i Taśminą jeszcze się krew gdzieniegdzie lała.

Sama pani Stempkowska bardzo grzeczna, uprzejma i zacna kobieta, lubiła namiętnie grywać w kosteczki; ale że o mało grała, i stawki bywały zbyt drobne, jedynie dla niewinnej społeczzeńskiej zabawy, przeto wierutne kostery nie mieli pociągu do jęj stolika: ale za to młodzi oficerowie i towarzysze, z którymi nader łaskawie i po macierzyńsku



obchodziła się, garnęli się około niej, stawiając na wyszcigi złotówki i póltalarki. Zastałem w Trojanowie dawnych wielu znajomych z pomiędzy obleżeńców barskich, a przy owym JW. regimentarzo-  
wój stoliku, spostrzegłem syna przyjaciela mego pana cześnika nurskiego, tegoto Marcinka, którego Puławski w Przyłuce uniósłszy do góry, wziął za tekst swojej przemowy. Żwawo potrząsał kubkiem i ciskał kości, bo mu się gra szczęściła. Powitał mię radośnie, a po skończonej grze, usiadłszy z nim na stronie, rozpytywałem o zdrowiu ojca i powodzeniu. Powiedział mi, że po powrocie z niewoli, zastali dom w Sielnicy zupełnie zrabowany, całe gospodarstwo do szczętu zniszczone, prawdziwie jak po wojnie; że ojciec, żołnierz starego etatu, nie rad nowo wprowadzonym odmianom w chorągwiach pancernych, do których trudno mu było nawykać, a do tego już i sędziwy, pożegnał wojskową służbę. On zaś sam, na wezwanie regimentarza przymuszony stawić się do chorągwi, zrazu niechętnie wdziewał mundur, ale teraz już zasmakował w żołnierskim zawodzie. Opowiadał mi, że był w Serbach obecny straceniu Gonty. Otc są szczegóły surowej karni, której uległ ów bezpiecznie głośny ataman humańskich kozaków: pochwycony przez Rossyan, wydany został z wielu innemi łowczemu W. koronnemu. Powieszono więcej tysiąca hajdamaków, kilkaset do robót wiecznych posłano

do Kamieńca, a dwustu do Lwowa dla ciągnięcia dalszych badań; sam zaś Gonta skazany został na obdarcie trzech pasów z pleców, pozbawienie znamion człowieczeństwa i wbicie na pal. Wytrzymał cierpliwie zadawane mu katusze, ale się długo na palu nie męczył, bo ten, szczęściem dla niego, wyłazł mu gardłem i wprędce zadławił.

Czy to prawda, zapytałem pana Marcina, że mu w więzieniu przed straceniem język ucięto, z obawy, aby na placu nie wymienił osób, które go do buntu i wyrzynania szlachty podbudziły?... — Jako żywo, odpowiedział mi młody towarzysz, bo słyszałem na moje uszy szyderską odpowiedź jaką dał, idąc na stracenie, jednemu z naszych. A rzecz tak się miała. Gonta trzymany w ścisłym więzieniu, lubo ciężko okuty, miał dla pilniejszej straży dodanego sobie jednego z towarzyszy pancernych, który dzień i noc przebywał w jego turmie. Owóż kiedy dniem przed kaźnią, odczytano mu wyrok, rzekł ów towarzysz do zadumanego Gonty:— Panie pułkowniku, jutro wszystko się skończy dla waspana: czy nie chciałbyś też zostawić po sobie jakiej pamiątki ubogiemu wojakowi, który ostatnie z tobą przepędza godziny. — Najchętniej, odpowie ataman, daruję waszmości jeden z moich pasów, tylko mi jutro przypomnij jak mię na plac wyprowadzać będą.— Podziękował za obiecany dar łakomy narodowiec, pewien, że dostanie jaki bogato-lity pas, zrabowany w jakim

z ukraińskich dworów. Nazajutrz tedy, gdy Gontę wywieziono z więzienia, rzekł mu: — A co, panie pułkowniku, przypominam obiecany mi pasik. — Nie zapomniałem, odpowiedział uśmiechając się szydersko; pierwszy pas, który mi kat udrze z pleców, niech służy waspanu. — Poszedł jak zmyty towarzysz, wyśmiany od kolegów za podłość swoją. Krążyła wprawdzie pocichu wieść, że na kilka godzin przed straceniem Gonty, przybiegł goniec z Warszawy z rozkazem, aby wstrzymać spełnienie wyroku dla dalszych badań winowajcy, i że jakoby łowczy W. koronny, przeczuwając to, nie otworzył listów aż po egzekucyi, kiedy już było zapóźno. Prawdali-to? czy domysł? nie zaręczam. Kogo winić, kogo podejrzywać? nie wiem. Ale i we Lwowie zaczęto już ciągnąć inkwizycye z owych dwustu hajdamaków, gdy nagle nadeszłe z Warszawy rozkazy poleciły wstrzymać badania, papiery wszystkie zniszczyć, a winowajców wszystkich bez braku oddać pod topór katowski.

W kilka dni wyruszyły chorągwie komunikiem na Ukrainę. Oficerom i towarzystwu, prócz juczych koni, żadnych nie wolno było prowadzić za sobą taborów. A pan regimentarz wziął tylko ma-lutkie saneczki dla siebie, a trójkonne sanie pod kuchnią. Przyłączyły się po drodze oddziały nadwornych kozaków od różnych panów przysłane. A że braknęło artyleryi, więc tej dostarczyli OO. Kar-



melici berdyczowscy, dawszy swoich puszkarzy i cztery klasztorne działa. Powlekłem się i ja za wojskiem. W miarę jak podjazd posuwał się w głąb Ukrainy, właściciele, dzierżawcy i ich podstarościowie, którzy unieśli życie z pod noży hajdamackich, wracali do opuszczonych przez siebie wiosek. Poniósłem ja nie małą szkodę w Matusowie i Osocie, bo plon i intrata roczna przepadły, dobytek też folwarczny rozgrabiono; dom zaś mieszkalny, choć splondrowało hultajstwo, nie zubożyło mię to, bo nasze ukraińskie sprzęty nie bywały kosztowne: stoły dębowe, tapczany, ławy i zydle, to wszystko jak na popasie pokryte makatą, kobiercem, kilimkiem lub dryliszkiem, przywiezionemi w podróżnym karabanie, razem z wędrowném puzdrem i cynowym kredensem. Pogospodarzywszy dni kilka, gdy w próżnym toku nie było co młócić, a w opustoszałym dworze tęskno było samemu siedzieć, wyruszyłem do sztabu pana regimentarza. Z miejsca na miejsce przenosił się szybko Stempkowski, podług otrzymanych wieści o zjawieniu się gdzie hajdamaków. W Wiązówku, pamiętam, natrafiliśmy na wesele wiejskie, na którym ośmnastu hulało mołojców; obkoczono wieś, lecz opryszki zasłyszawszy o przybyciu wojska, wypędzili precz weselną czeredę, a sami zawarłszy się w owój chacie, zaczęli potężnie bronić się, strzelając z janczarek przez okna i z pod strzechy. Żeby nie psować darmo ludzi,

których ubili i ranili kilku, bo nader trafnie brali na cel żołnierzy, pan regimentarz cofnąc nieco kroku rozkazał, a dwom karmelitańskim harmatom polecił zburzyć ową chatkę. Lecz odpustowi puszkarze, tak zręcznie rychtowali swe działa, że kilkanaście razy wypaliwszy, ani jedną kulą nie trafili w chałupę. Zbuzowanych więc i wyszydzonych altylerzystów, przegnał regimentarz, a zawołał: „Kto chce na ochotnika!” Poskoczył rotmistrz bohusławskich kozaków Sawicki, podejmując się zapalić budynek. Jakoż obłożywszy słomą ściany, nie bez straty kilku swoich, udało mu się rozniecić płomień; ten wkrótce dach cały ogarnął. Lecz hajdamacy nie przestawali się bronić, strzelając do naszych, dopóki dach nie runął i ściele nie zapadły się. Umilkły rusznice, żołnierze drzwi wysadzili, lecz wśród żarzących się ścian, znaleźli tylko dwóch żywych młodców, a i tych srodze popieczonych, szesnastu zaś bez duszy, spalonych ze szczętem. Jeden uczeptiony do belki, zgorzał na niej objąwszy ją rękami i nogami. Hajdamacy ci wycierpieli próbkę piekła za życia. Wypotrzebowawszy wszystką wodę jaka w chacie znaleźć się mogła, szukali ochłody od przypiekających płomieni w wywróconych dwóch kadłubach barszczu, w którym nurzając się, nie przestawali strzelania do ostatniego tchu. Co za wytrwałość! gdyby w piękniejszej sprawie!

W Lisiance znaleźliśmy powieszonych na jednej szubienicy: księdza, szlachcica, żyda i psa, z napisem: *wse odna wira*. W Kalnobłotach zachwycono kilkudziesięciu hajdamaków. Pan regimentarz na belkach starej odartej cegielni całą tę szajkę powiesić rozkazał. Przed samem spełnieniem wyroku, wpada towarzysz, meldując, że pomiędzy zbójcami jest jeden, który się mianuje szlachcicem.—Co? szlachcic, wśród hajdamaków! ozwał się pan Stempkowski,—klejnotowi nie ubliżać: niech go powieszają na prawej stronie!

Tak cząstkowo wytępiając opryszków, wróciła naostatek spokojność i jakiegokolwiek bezpieczeństwo w tej oplakaniej stronie. Chorągwie kawaleryi narodowej rozłożyły się na Ukrainie, trzymając na wodzy czerni rozbezwstwioną mordami. Kilkuset jeszcze wysledzonych i pojmanych oprawców z pamiętniej rzezi, odesłano do Kodni, gdzie pan regimentarz obrał sobie stanowisko i sąd zaprowadził. Poszli wszyscy prawie pod topór katowski, a z niemi kilku duchownych, podżegaczy buntu.

Owóz ja znowu zacząłem gospodarzyć, przejeżdżając się po dawnemu, to z Wołynia do Smielańszczyzny, to napowrót do Barmak. Tak zeszło lat kilka szczęścia domowego, które zniszczyła śmierć mojej nieboszki żony. Ja nawpół kochać nie umiem. Zgon jój do takiej przywiódł mię rozpacz, że cisnąwszy wszystko, chciałem bernardyński przywdziać



habit; lecz przyjaciele jak zaczęli mię najeżdzać, a cieszyć, a rozrywać, a upajać, powtarzając: na frasunek dobry trunek, i to nie dzień, nie dwa, ale przez rok cały; skończyło się na tém mój dobrodzieju, zem się rozpił, i czém jeszcze? oto gorzałką prostą! Tak używanie ciągle, niepomiarkowane téj przepalanki, człowieka o brzydki nałóg przyprawić może. Powiem ci mój bracie, że jak sobie dziś wspomnę, co się ze mną wówczas działo, to jeszcze wstręt mię bierze. Żaden karczemny pijak co się tarza pod ławą, nie mógł być plugawszy: obrzmiałem, cuchnąłem jak baryłka gorzałką, brzydziłem się sam sobą, a jednak powstrzymać się od nałogu nie mogłem. Ale nareszcie Bóg litościwy wejrzał na mnie, i zesłał ku zbawieniu mojemu od hańby, wstydu i zaguby, anioła pocieszyciela.

W sąsiedztwie tu mojem, we wsi Żytyнку, mieszkała podówczas pani wojewodzicowa Godzka; mąż jej, hulaka, marnotrawca i rozpustnik, nie wart był takiej żony: bo to święta była, pełna cnót i rozsądku kobieta. W dobrych sąsiedzkich stosunkach i ściślej z nami żyjąc przyjaźni, oplakiwała nieraz zgon nieboszki mojej żony; widząc zaś stan znikczemnienia, do którego mój nieszczęsny nałóg doprowadził mnie, zaczęła ze łzami napominać, abym się upamiętał i zaniechał brudnego pijaństwa. Rozrzewniłem się i ja przed nią, wyznając, że sam widzę przepaść do której mimowolnie dążę, ale że na-

łóg do tyła wziął górę nademną, że ani podobna powstrzymać się od gorzałki.—Panie Starosto, rzekła wojewodzina, mężczyzna jesteś, masz rozsądek, miejże i mężką wolę. Posłuchaj mię, ofiaruj się do Najświętszej Panny Szpanowskiej, z pełną ufnością w Jój miłosierdzie; zrób silne postanowienie poprawy i zaprzysiąż sobie nie kosztować obrzydłego trunku. A jeśli przepalone wódką wnętrzności, dopominać się gwałtownie będą zabójczego napoju, zaspokój ich nagabanie pijąc wywar z pokrzywy zwanėj żygawką; pij go często za zwyczajny napój, pij kilka miesięcy wciąż, a wspomnisz moje słowo, że pozbędziesz nałogu.”

Przyrzekłem na klęczkach zacnej niewieście pójść za jój radą. Jakoż ofiarowałem się do Najświętszej Panny, dałem na mszę świętą, której po-bożnie, krzyżem leżąc, wysłuchawszy, odbyłem ze skruczą spowiedź i przystąpiłem do świętych tajemnic Komunii. Nie odrzucił Pan Bóg i Matka Boska ofiary mojej. Pasowałem się wprawdzie długo z wkorzenionym nałogiem, ale pomny przysięgi mojej, przemogłem złe chuci i wyszedłem zwycięzcą. Był mi w tej walce wielką pomocą ów doradzony wywar z pokrzywy, który wiadrami prawie pijąc codziennie przez całe półrocze, gasiłem ogień pałające we wnętrznościach moich. Mój dobrodzieju, odrodziłem się niejako od owėj pory; świat mi weselszy przybrał pozór, i już czterdzieści kilka lat

mija, jak nie znam ani smaku, ani zapachu gorzałki. Ale za to wino łykało się po staremu, a niekiedy i miarę się przebrało; tylko że węgrzyn ma to w sobie, iż pozbytkowawszy z nim parę dni, trzeciego już cię głowa boli, i czujesz wstręt do szklenicy, a więc nałogiem stać się nie może, jak on szatański gorzelniany wyskok.

Opuścił mnie nakoniec nałóg, a czas, ów najlepszy lekarz, ukołysał nieznacznie żal mój po stracie żony. Smętne zaś i słodkie wspomnienie doświadczonych w pożyciu małżeńskim pociech i rozkoszy, nasuwały żądzę wziąć rozbrat z wdowim kapturem: słowem, już mi ciężyło tęskne osamotnienie. Owóż w parę lat, pojechawszy na Ukrainę, poznałem młodą i urodziwą panienkę, Biernacką; dziwnie mi się podobała i z ładnego a świeżego oblicza, i z wielkiej łagodności układu swojego. Choć podżyły ale jary, udałem się Mospanie w koperczaki i zaloty; szlachetnego rodu dziewczica, ale nie posażna, nie wzgardziła mojem sercem i ręką, i oto już kilkadziesiąt lat przeżyliśmy z drogą moją Kostusią w przykładowej zgodzie i miłości małżeńskiej. Dał nam Bóg dziatki, wychowaliśmy je, poženili, gromadka wntucząt podrosła, a ja z moją turkaweczką, jak dwa siwe gołąbki, w czulej zawsze zostajemy parze.

Orzeźwiony jakoby słodkimi przypomnieniami staruszek, zaczął sobie nucić:



Oj! gdybyto, gdybyto  
Z tą Kostusią na żyto;  
Ej! gdybyto na siano  
Z tą Kostusią kochaną!

— Pan Starosta, — rzekłem — prócz nieboszczyka Karola, miał jeszcze innych braci?

— Ho! mój dobrodzieju, było nas czterech: ja Szymon najstarszy, Eustachy po mnie, Karol był trzeci, a Ignacy najmłodszy. Nasz ojciec Michał, chorąży zakroczymski, mieszkał w województwie płockiem, w dziedzicznej wiosce swojej Ogorzeli-  
cach, która od kilkuset lat, i przez kilkanaście pokoleń, zostawała w rodzie naszym; lecz odumarł nas w dzieciństwie. Matka zaś nasza Wiktoryna, z domu Pęska, jedna z najpiękniejszych jakie zapamiętam kobiet i dość posażna (bo na banku toruńskim kilkadziesiąt tysięcy talarów miała), poszła za drugiego męża, niejakiego Strzeszowskiego. Nie ciekawego dała nam opiekuna a sobie małżonka: bo ten ojczym nasz, pilnując jedynie kufła, włócząc się po sejmikach i kiermaszach, a w domu ciągle myśliwstwem zajęty, roztrwonił i swoje imiona, i żonine wiano, i nasz sierociński majątek. Aż żal było patrzeć, jak się marnował dobytek, jak z kilku tysięcy owiec większą połowę wywleczono powoli z obór i wyrznięto na nawarę dla psów. Dobrał on sobie koniuszego, jakto powiadają: wart Pac pałaca, a pałac Paca, takiego jak sam suszykufła, słowem: jaki pan taki kram. Ten był nieodstępny towa-

rzyszem na wszystkich jarmarkach, odpustach i kiermaszach; a zawsze, podchmieliwszy sobie, jakąś burdę splatali. Gdy więc już było kręto, a wyszturchana szlachta porwała się na nich do szerpetyń, albo czasem i chłopstwo do swych kitajeczek, i kiedy naciskać ich gromadnie zaczęto, ojczym nasz miał w takim razie do wycofania się doświadczony swój obrót wojenny; zawołał tylko na koniuszego: „hej! Wiszniowski! sam tu do mnie pleckami!” Oparłszy się więc jeden o drugiego grzbietem, czoło z obu stron nacierającym stawili, a machając gęsto szablami, odcinali się na wszystkie strony. Wyuczeni zaś i wprawni do stąpania to naprzód, to w tył, to w bok, w miarę potrzeby, jak gdyby zrośnięci z sobą, obronną zawsze ręką z miasteczka czynili odwrót ku czekającej na gościńcu bryce; niekiedy jednak z porządniemi guzy wracali do domu. Nie bardzo pasierbów miłował kochany tatulo, nazywając nas grzebykami na swojej czuprynę; o wychowanie też i naukę nie wiele się troszczył. Najulubieńszą zaś jego rozrywką, pod dobry humor, bywało, dać nam po szklance miodu i kazać się bić między sobą na palcaty, a on coraz do żwawszej zachęcał walki, wołając: „nuże chłopcy, nuże moje grzebyki, wprawiajcie się do korda!” W tych pojedynkach, ja i Karol, choć mniejsi, ale szykowniejsi, zawsze nad Eustachym i Ignacym mieliśmy przewagę; mimo, że ci znacznie nas przechodzili postawą.

Doszedłszy do lat młodzięcych, a nie mając się czego trzymać w domu, każdy z nas powędrował w swoją stronę. Jam się dostał do dworu wojewody kijowskiego Potockiego, Eustachy do Wielopolskiego wojewody sandomierskiego, Karol do ordynata księcia Sanguszki, a Ignacy do Raczyńskiego generała ziem wielkopolskich.

Eustachy najpiśmienniejszy i najzapobiegliwszy z pomiędzy nas, znacznego dorobił się majątku, a trzymając się partyi hetmańskiej, został generał-adjutantem, a później buńczuczny. Ożenił się on z panną zacną i parentelatką, Pietruszewską; lecz nim do tego przyszło, wiele miał przeszkód ze strony matki, którą niechętni i zazdrośni uprzedzili kryjomo, że to jest popowicz podszywający się za szlachcica. Dopóki więc nie przewąchał co się święci, wiele ugryzków miał do strawienia biedny opopiony mazur; ale raz dowiedziawszy się, jakie mu buty uszyto, łatwo dowiódł pochodzenia swego z odwiecznego rodu, uszlachconego przez króla Kazimierza Mnicha. Panna wprawdzie sprzyjała mu zawsze, bo był mężczyzna okazały i urodziwy; raz tylko poczęła go w mniejszej mieć cenie, a to z takiego wypadku.

Panna Maryanna, dawnym zwyczajem, oddana była na naukę do klasztoru Karmelitanek w Dubnie; tam ją mój brat poznał, i tam konkury o jej rękę przez kratę odbywał. Owóz jadąc raz do kla-



sztoru, jako kawaler starający się, strojno i wystawnie, nową kolasą na pasach i piątką dzielnych koni, zalecił Krakowiakowi woźnicy, podjeżdżać żwawo nie szczędząc bata. Nie dał sobie dwa razy mówić ochoczy Bartosz, więc rozpuściwszy bicz, jał smagać szkapy, nagłąc je ustawicznym *wi! hot!* i częstém a rozgłośném trzaskaniem. Lecieli tak wielkim kłusem przez błoto i dylami wysłaną ulicę, aż zawadziwszy o jakieś drzewo, pękł sworzeń, kolasa z moim Eustachym siadła na ulicy, a zapamiętały woźnica, z krzykiem i trzaskiem, z przednimi kołami zajechał przed klasztor Karmelitanek. Ciekawe panienki pobiegły do okien, patrzeć kto przyjechał, i ujrzały dwukołową taradajkę i zdziwionego na koniu furmana, gdzie się pan jego podział, a wkrótce i brata Eustachego brnącego piechotą po błocie. Powstały więc śmiechy między pannami, niezbyt korzystne dla biédnego zalotnika, a jego bohdanka bardzo go zimno powitała. Lecz wkrótce udało mu się odzyskać jój szacunek i powiększyć go jeszcze: bo gdy panna Maryanna pojechała na Wielkanocne święta do matki, do Percmyła, gdzie pan Eustachy miał przybyć, wezbrany zaś Styr pozrywawszy groble i mosty, przeciał wszystkie przeprawy; mój brat puścił się wpław konno w szumiące nurty, i z narażeniem życia przebył spienioną rzekę w oczach przełękłej panny, która z okien domu na tę szaloną patrzyła przeprawę. Po takim

dowodzie miłości, który i matkę i córkę zobowiązał, niebawem nastąpiło wesele. Z tego małżeństwa jedyna tylko pozostała córka, wydana z czasem za księcia Radziwiłła, lecz i ta dziś bezdzietna, straciwszy siedmnastoletniego syna, który całą jej pociechę i nadzieję zabrał z sobą do grobu.

O bracie Karolu i zgonie jego, już ci opowiadałem, mój dobrodzieju; ten był bezżenny: Ignacy zaś, sam jeden tylko z nas czterech pozostał w Wielkopolsce; był on podwojewodzym poznańskim, ożenił się z wdową po kasztelanie Zboińskim, bogatą bardzo kobietą, lecz potomstwa z nią nie miał. Gdy mu umarła, a dzieci jej z pierwszego łoża podrosły, lubo opatrzone dożywociem, odstąpił im jednak całego po matce majątku, chociaż sam nie wiele uzbierał, żyjąc otwarcie, szumno i nader gościnnie. Dzierżawił on lat ze dwadzieścia starostwo międzyrzeckie nad granicą brandeburską. Wielki trakt z Berlina do Poznania przechodził wedle wrót jego domu; ruszył tedy conceptem, i kazał na bramie wywiesić tablicę z napisem dużemi głoskami: „*Mam tego za kpa, kto do mnie nie wstąpi.*” Dziwaczne te zaprosiny nie jednego obraziły, ale nie chcąc mieć do czynienia z głośnym do korda zawadyką, zwłaszcza kto miał pilną drogę, mijał co prędzej natrętno-gościnnie wrota; lecz za to lubownicy kufła, znajomi czy nieznajomi, zajeżdżali ochocić się z wesółym gospodarzem.

Mieszkający na dwóch krańcach Polski, niewiele z panem Ignacym mieliśmy znoszenia się. Raz tylko jeden zawitał tu do mnie, jeszcze za nieboszki mojej pierwszej żony. Pamiętam, miałem gości gromadkę, dobrych przyjaciół, z którymi parę dni piłem na zabój; trzeciego dnia rozjechali się wszyscy, ja zaś czując ból głowy i niesmak w gębie, jakto zwykle po przepiciu się bywa, siedziałem chmurny na ganku. Aż oto z za góry od Równego wysunął się powóz jakiś; patrzę, ogromna kolasa, a w niej sześć koni rosłych parami w szory zaprzężonych, powolnym ciągną się krokiem. Złe, pomyślałem sobie, to jacyś pijacy jadą; przypatruję się pilniej, i widzę jak noga za nogą zjeżdżają z góry drogą, która tylko do mego domu prowadzi, w spuszczonej zaś kolasie siedzi dwóch rozpartych jeźpánów. Oj! złe, rzekłem do siebie, to niechybnie jakieś moczymordy, a tu mię i łeb boli i ekliwo po wczorajszym; spojrzałem znowu, aż ten karawan zawsze żółwim krokiem wlekący się, zawraca ku bramie. Nie dotrzymałem placu Mospanie i uciekłem do izby, nierad wcale tym niewczesnym odwiedzinom; spoglądam przez okno, zatrzymała się przed gankiem leniwa kolasa, i dwóch sążnistych ichmościów wylazło z niej. Czekam aż wejdą, ale już zły, na samo wspomnienie kielicha, którym zwyczaj naszego kraju każe powitać gościa. Weszło nareszcie do pokoju dwóch polonusów, w stroju wprawdzie na-



rodowym, ale nie naszym wołyńskim krojem, bo kontusze aż do kostek prawie, pasy lite opadające niedbale poniżej bioder, czupryny długie ledwie nie do ramion, tak jak nasi księża świeccy, albo też tkacze wiejscy noszą; wąsiska zaś spore i opuszczone zakrywały im wargi. Już mi się nie podobali z postaci swojej, ale cóż robić? czekam co będzie dalej. Wyższy z pomiędzy dwóch wystąpił naprzód i rzekł do mnie: — Słyszeliśmy o wielkim szacunku mnie wielce mościwego waćpana dobrodzieja, i przybyliśmy mu złożyć naszą attencyą i submissyą! — O! Łykacze! pijacy! — pomyślałem sobie; po tej perorze już poznaję coście za jedni. Staralem się jednak pokryć nieukontentowanie, i zapytałem: — Kogóż mam zaszczyt witać w domu moim? — Nieznajomy popatrzał na mnie chwilę, rozciągnął ramiona i zawołał: — Cóżto bracie Szymonie, dyć nie poznajesz już Ignacego? — Dlaboga! — krzyknąłem, i rzuciłem się w jego objęcia. Uściskaliśmy się serdecznie i splekali z radości. — A to dyć nasz brat cioteczny, Wiktor Pęski, — rzekł pan Ignacy, wskazując na towarzysza swego. Nowe zatem nastąpiły uściskania. Przeszedł w mgnieniu oka ból głowy, przeszła i clikliwość jakby ręką odjął. — Hej! Wawrzyniec, dawaj wina, wypijemy za szczęśliwe przybycie dawno niewidzianych braci! — Cieszyliśmy się Mospanie całe trzy tygodnie. Pocziwe Mazury nie leniwe były do kufła, i piwniczemu nie daliśmy próżnować.

Wszystko im podobało się na naszym Wołyniu, w piwie tylko, które oni gąsiorkami łykać nawykli, niepodobna im było dogodzić: bo chociaż bez wstrętu zapijali białe tajkurskie, trzymając się przysłowia: „w niebytności jegomości, dobry i pan podstarości,” wszelako za każdą niemal szklenicą powtarzali: „niezłeć jest i te, ale dyc nie masz piwa nad nasze piwo Grodziskie.” Musiałem przeto honor wołyńskiego województwa ratować winem; a właśnie miałem potemu porządne zapasy, bom przed dwoma laty kilkadziesiąt beczek prosto z Węgier sprowadził.

Najbardziej zaś przypadli im do serca dwaj kozacy bandurzyści, których podówczas trzymałem; bo też to byli całą gębą chłopcy: mołojce praworni i motorni, wyhodowani nad Taśminą. Ci tedy swojemi przysiudy, przygrywając na teorbanach, potężnie nam dodawali ochoty, a nucąc pieśni, rzewniejszymi nas robili do kielicha. Miał przy sobie pan Ignacy wyrostka, z Przasnysza rodem, którego ubierał za węgryzka; ten widząc jak panom zamakowały dumki ukraińskie, pozazdrościł kozackom moim, nuż więc prosić ich: — Panowie Ruśniaki, nauccies tes i mnie śpiewać po swojemu.” — Jakoż i skorzystał z nauki, i raz tu popisywał się nam ze *Sawą z Niemierowa*: ledwie boków nie pozrywał od śmiechu, słysząc, jak ów Jonek od ciemnej gwiazdy, ruskie zmazurzał słowa.

Zawadzał mi bardzo ten ubiór nieszykowny braci moich: zawiąłem się tedy, i zaraz ich tu postroiłem po swojemu. Podcięliśmy kontusze i żupany, pasy ciasniejszym ściągaliśmy obręczem, kazałem im czupryny podgolić, wąsy przystrzydz i zakręcić w pierścienie: słowem, przedzierzgnąłem obu na zaderwistych chłopaków. Tak przeobrażone Mazury pożegnali się naostatek z nami, i od tego czasu już się nie widzieli. Ignacy żyje podobno jeszcze, bo przed dwoma laty nakazywał do mnie przez majora Alexandra Błędowskiego, przesyłając pozdrowienie: ale już chyba na Józefatowej zobaczymy się dolinie.

Zadumał się trochę staruszek, i rzekł nakoniec: —Przyznam ci się, mój przyjacielu, że mi boleśnie jest stojącemu nad grobem pomyśleć, że na nasród pocziwych krzykaczy Zakrzewskich zakończy się; ze czterech braci, ja tylko jeden, jedyne mam syna, ale i ten samych tylko dochował się córek. Pocieszył mię był wprawdzie Pan Bóg wnukiem, ale na krótko: dałem mu był na chrzcie imię Karola, na pamiątkę mego dzielnego brata i ku czci zacnego generała Kniaziewiczza, który mu był ojcem chrzestnym. Lecz tylko sześć tygodni radowaliśmy się tą latoroślą ze starego pnia Jastrzębców wynikłą. OO. Karmelici horodyscy wmówili w brata mego Eustachego, że kara boska ciąży nad naszym rodem za zabójstwo świętego Stanisława biskupa,



pomiędzy mordercami którego miał się znajdować jakiś Jastrzębiec; ale ja temu nie wierzę, żeby litościwy Bóg miał się mścić aż na dwudziestém pokoleniu. Nie szemrajmy na Jego sądy, ale mówmy raczej, jak nas matki nasze pouczyły: „O! Pani! bądź wola Twoja święta!”

No, ale już pora spocząć, a zatem dobranoc ci mój młody przyjacielu.

Pożegnałem się z panem Starostą, pobłogosławił mię na drogę, a nazajutrz raniutko opuściłem Bar-maki.

## E P I L O G.

---

W siedm lat później, tojest w roku 1824 dowiedziałem się o śmierci pana starosty Zakrzewskiego. Bolesne straty poprzedziły zgon jego: syn jedynak nagłą umarł śmiercią, a żona w rok po synie zstąpiła do grobu. Do tak żalonych dla serca wypadków, dodajmy cierpienia i katusze raka toczącego mu oko i część twarzy; dołączmy stratę połowy majątku zrzadzoną przez jedno z pamiętniejszych bankructw wołyńskich: niedość na tém, piorun spadł na stodołę, gumna, budynki folwarczne i połowa wsi zgorzała. Tak Pan Bóg doświadczał wiary tego nowego Joba: lecz i ten jak dawny prorok, za każdym świeżym ciosem powtarzał: „O! Panie! święć się imię Twoje! Bądź wola Twoja!” Dochował on aż do ostatniej chwili wiareę w miłosierdziu boskiem, która darzy nadzieją szczęśliwszej przyszłości i wiareę w cnoty niewieście, która w tém jeszcze życiu niesie pociechę. I nie zawiodły go obie-

dwie te wiary, tak żywo w sercu pielęgnowane. Osamotniony bowiem starzec po stracie swęj Kostusi, którą tyle lat i tak uprzejmie kochał, znalazł nieodstępną towarzyszkę, czujną Siostrę Miłosierdzia, w pozostałej wdówie po synu swoim, która, jak druga Antygona, ślepego ojca była przewodniczką. Ona mu odrażającą ranę własną opatrywała ręką, ona dbała o jego wygody, i rozrywała umysł pocieszającą rozmową; dary zaś bogatej synowicy, świadczone skrycie, odpędzały niedostatek ze stryjowskiego domu.

Zgon pana Starosty był podobny do jego życia: razem burzliwy i łagodny, i taki właśnie przepowiedzieli mu lekarze. Rak, który mu oko wyżarł, posuwając się coraz głębiej wewnątrz głowy, strawił naostatek kości stanowiące komorę mózgową, i przywiódł go do szaleństwa. Było to w nocy: obudzono synowicę, dając znać, że pan Starosta zwaryował. Biegnie przestraszona do pokoju teścia, i znajduje go z nabitym sztuccem stojącego u łóżka i mierzącego ku drzwiom. — Kto idzie? zawrzasał, odezwij się, bo strzelę! — Ojczy, to ja, to Leonka, niech papa broń postawi, żeby mnie przypadkiem nie ranił. — Na ten głos ucichła burza. — To ty Leonko, rzekł łagodnie kładąc strzelbę. Ach! kochaneczko moja, okropne cierpię boleści! — Połóż się ojczy, lżej ci będzie w łóżku. I dopomogła mu ledz w pościeli. — Dziękuję ci, moja córko, niechaj ci Bóg



błogosławi! Już mi jest lepiej, radbym się napić kawy.—Przyniesiono naprędce kawę, którą wypił z rąk synowej. Oparłszy głowę na jej ramieniu, na nowo dziękował i błogosławił swojej Leonce, pokąd nie usnął zwolna. W pół godziny głowa starca zaczęła ogromnie ciężać na jej ramieniu; czując drętwienie w ręce, chciała ją zsunąć ostrożnie, lecz spojrzawszy na twarz teścia, spostrzegła, że to już był sen śmierci: tak spokojne, tak niewidome było skonanie.

*Sylenty Kubasiński.*

K O N I E C.



**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat 72

00-000-000

Tel. 25-66-66, 26-62-31 w. 42







8, Taurus auratus Kischka  
Lubuska z Pocz. - 57 n. → 41

F

487